Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

ROK III NR. 13 (61)

WARSZAWA, DNIA 1 PAŹDZIERNIKA 1934 R.

CENA 50 GR.

Hańba Genewy

Mimo tylu publikacyj i reportażów, mimo tak bliskiego sąsiedztwa, Sowiety pozostają wciąż dla Europy zagadką. W repertuarze pojęć i wyobrażeń człowieka wychowanego w tradycjach kultury zachodniej, przepojonej pierwiastkami klasycznemi i ideologją chrześcijańską, nie istnieje nic, coby mogło zbliżyć nam tę obcą, niepojętą rzecz i zrozumiale ją zdefinjować. Ponieważ jednak człowiek odczuwa strach przed nieznanem i chętnie przykrawa wszystkie tajemnicze zjawiska do szablonów własnego, ciasnego poglądu na świat, więc i w tym wypadku dzieje się tak, że o Sowietach pisze się i mówi to, co dany osobnik chciałby w nich widzieć, a nie to, co jest prawdą żywą. I tak stary, zgrany pozytywizm widzi tam realizację wyzwolonego z przesądów humanizmu, obcinającego głowę fikcjom idealistycznym i widzącego wyłączny cel ludzkości w sprawnem produkowaniu i spożywaniu dóbr doczesnych; socjalista widzi urzeczywistniony samorząd pracy, jednakowoż w formach rażących jego zachodnioeuropejskie wyobrażenia o wolności człowieka; nacjonalista widzi wojujący internacjonalizm; katolik widzi wcielenie laicko-bezbożniczego systemu, wymyślonego przez judeo-masonję, miecz owej podziemnej „anti-ecclesia", która wydała wojnę Chrystusowi i Kościołowi, aby zapanować kiedyś na jego gruzach; pacyfiści widzą w Sowietach świętego stróża pokoju, naturalnego wroga wszelkiego imperjalizmu i militaryzmu i t. d., i t. d.

Czem są w istocie Sowiety?

Jest to kraj, w którym niema własności prywatnej. Kraj, w którym niema wolności osobistej, ani t. zw. humanitaryzmu, gdzie uczucie litości jest tępione jako przesąd burżuazyjny, gdzie umierającemu z głodu mówi się: zdychaj! Kraj, w którym niema sprawiedliwości, niema moralności, niema stałych norm prawnych. Kraj w którym niema rodziny, ani narodu, ani religji. Kraj w którym niema filozofji, bo jedyną filozofję, jaką się tam uznaje t. j. djalektykę Hegla spreparowaną na użytek teorji materjalizmu dziejowego, zamieniono w dogmat, a więc wyzuto ją z cech myśli spekulatywnej. Kraj, w którym niema wolności myśli, ani objektywizmu naukowego, w którym dwa a dwa może być pięć, bo nawet matematyka jest ograniczona w swych dociekaniach i poddana interesom praktycznym regime'u. Kraj, w którym niema sztuki, bo wykreślono ideję piękna z jej słownika, traktując jej wytwory, jako towar, produkowany na obstalunek, w zależności od potrzeb doraźnych „budownictwa socjalistycznego". Kraj, w którym wprowadzono nanowo niewolnictwo, gorsze od tego jakie było w starożytnym Rzymie i bardziej poniżające od niewolnictwa w republice murzyńskiej Liberji, o które tak wielki podnoszono krzyk na posiedzeniach Ligi Narodów; kraj, w którym obok oficjalnych niewolników regime'u t. zw. „liszeńców", istnieją setki tysięcy niewolników na Sołówkach i na wszelkich robotach przymusowych, nie mówiąc już o 170 miljonach niewolników w jakich partja komunistyczna zamieniła mieszkańców Rosji. Kraj, najstraszliwszego i najkonsekwentniejszego militaryzmu, jakiemu podobny znaleźć można chyba tylko w starożytnej Assyrji. Kraj, w którym planowo przeprowadza się poniżanie i wdeptywanie w błoto godności ludzkiej w t. zw. „pokajanjach". Kraj systemu szpiegowskiego, niewidzianego dotąd w dziejach, oraz najpotworniejszego terroru, stosowanego na zimno, jako oficjalna metoda rządzenia. Kraj, w którym systematycznie wykorzenia się z jednostki jej człowieczeństwo, bo tępi się na każdym kroku osobowość. Kraj, w którym prześladuje się narodowość zapomocą masowego przesiedlania i umyślnego wygładzania, jak to miało miejsce z Kozakstanem i Ukrainą. Kraj, w którym zabija się w człowieku wszelkie potrzeby duchowe na rzecz potrzeb fizycznych, czysto zwierzęcych, aby zniknęło na zawsze to, co dotąd nazywano duszą. Kraj, w którym oświadcza się szczerze i bez ogródek: „niszczymy wszystkie religje, przedewszystkiem zaś niszczymy Chrystusa". Kraj, w którym stosuje się inkwizycję, ten „symbol ciemnoty średniowiecznej", spotęgowaną jednak do dziesięciokrotnych rozmiarów; w którym okrucieństwo sądów i czerezwyczajek dochodzi do tego, że w porównaniu z niem sądy i ochrany caratu były szczytem delikatności i miłosierdzia chrześcijańskiego. Kraj, w którym histeryzuje się rozmyślnie masy, aby nie dostrzegały w tej iście wężowej hypnozie — paszczy, która je pożera; w którym wychowuje się społeczeństwo w atmosferze gigantycznego kłamstwa o reszcie świata i o całym przebiegu historji. Kraj ludzi podniecanych, straszonych, zagłodzonych, ogłupianych, zaszczutych, zatrutych nienawiścią, chodzących w łachmanach, mieszkających w natłoczonych klatkach na zwierzęta.

Ten dziwny kraj, ziemia wznoszonych pod batem terroru nowoczesnych piramid, owych Magnitogorsków i Dnieprostrojów, budowanych bezużytecznie w jałowych pustyniach pierwotnego w swej strukturze ekonomicznej kraju, prawdziwy padół niedoli, otoczony jest drutem kolczastym nie przez swoich sąsiadów, lecz przez własne ustawy, grożące śmiercią każdemu „obywatelowi" Sowietów za przekroczenie granicy, równające się tam zdradzie stanu.

Rządcy tego kraju, obwarowani na Kremlu, jak w jakiejś jaskini gangsterów, otoczeni wielokrotnemi łańcuchami straży, rzędami karabinów maszynowych, aparatami podsłuchowemi, strumieniami porażającego prądu elektrycznego, zabijającego nieproszonych gości (patrz Srokowskiego: „Na czerwonym Olimpie") umieli stworzyć tę piekielną despotję energją i przebiegłością niesłychaną, umieją też trzymać w ryzach rządzoną przez siebie ludzką trzodę. Przewrotność ich nie da się z niczem porównać, nie mają też absolutnie żadnych skrupułów sumienia w realizacji swoich planów. Z łatwością przywdziewają oni każdą maskę, jaka im jest dogodna w danej chwili, co daje im wyższość nad każdym, skrępowanym uczuciami i normami ludzkiemi przeciwnikiem. Głównym ich celem (a wykazali oni żelazną konsekwencję w osiąganiu celów) jest rozszerzenie na cały glob stworzonego przez siebie systemu, a to przez zrewolucjonizowanie narodów, wyrznięcie ich klas oświeconych, zorganizowanie wszędzie dyktatur proletarjatu i tegoż samego niewolnictwa, jakie już u siebie wprowadzili. Jest to dla nich kwestją życia i śmierci, i wszystkie ich posunięcia obliczane są tylko pod kątem tego celu.

Takiemi są Sowiety. Zobaczmyż teraz jakie jest ich obecne położenie międzynarodowe, jakie mają szanse i atuty w tej grze na śmierć i życie.

Zawiodły przedewszystkiem ich rachuby na prędkie zrewoltowanie świata; z drugiej strony jednak szalejący kryzys stwarza im w tym względzie poważne perspektywy na przyszłość. Przybył im następnie nowy oficjalny przeciwnik (prócz owej międzynarodowej „zmowy kapitalistów" z którą walczyli) a mianowicie faszyzm, który rozszerzył się szybko w wielu krajach; znowuż jednak siły jego nie są tak groźne, jakby się to napozór zdawało, a nie posiadając gotowej, pełnej doktryny i przejawiając się w formach budzących odrazę w świecie cywilizowanym, pomaga on teraz raczej Sowietom w ich grze (nie kto inny jak Hitler wywołał właśnie reakcję zbiorową Europy w postaci zbliżenia jej z Sowietami i jednomyślnego prawie przyjęcia jej do Ligi Narodów).

Piatiletka nie udała się, nie zawiodły jednak te jej części składowe, które zasilić miały organizujący się czerwony militaryzm: oddawna zresztą ludzie dalekowzroczni zwracali na to uwagę, że piatiletki nie mają wcale na celu uszczęśliwienia Rosji, lecz właśnie rabunkową eksploatację wszystkiego co ona dać mogła, dla pośpiesznego uzbrojenia armji, mającej ponieść hasła rewolucji na ostrzu miecza wgłąb Europy i Azji. Co do nastrojów ludności, to ta w 70% nienawidzi Sowietów, jak dżumy (odnosi się to do starszego społeczeństwa), ale jest tak sterroryzowana i wycieńczona, że nie może się bronić; natomiast pozostałe 30%, t. j. cała młodzież, nie znająca innego świata, jak ten w którym ją wychowano, jest gorącą stronniczką regime'u, a dzięki właściwemu każdej młodzieży bezkrytycyzmowi, fanatyzmowi i skrajności przekonań, stanowi potężne kadry janczarów, gotowych runąć jak nowa horda Dżingischana na „stary świat" Zachodu.

Ogólna sytuacja Sowietów jest dziś mocniejsza, niż była przed kilku laty, gdyż narastają wciąż masy młodych, wytresowanych w kulcie dla regime'u, zaś z szeregu katastrofalnych trudności wybawił je świat kapitalistyczny, który przychodził im bez skrupułów z pomocą finansową. Mimo to władcy tego kolosa nie czują się pewni na swoim obwarowanym tronie. Najlepszy dowód w tem, że zamienili Kreml w istną jaskinię rozbójniczą, bronioną przez wszystkie zdobycze techniki, na podobieństwo tajnych kryjówek gangsterów. Wiedzą oni, jak ich ludność nienawidzi, i zdają sobie z tego sprawę, że przy takich nastrojach mas nie mogliby prowadzić wojny, nawet z armją tak dobrze zorganizowaną i tak bogato wyposażoną, jaką posiadają. Wolą poczekać jeszcze parę lat, aż wymrze większość starych, aż pamięć o dawnej Rosji zostanie do reszty wykorzeniona z głów ludności i aż dotresują do końca falangi istot dziwacznych i nowych, jak jakieś niebywałe na naszym globie potwory, tych Marsjan z powieści Wellsa, którzy rzucą się kiedyś na ludzkość cywilizowaną, tępiąc ją i trzebiąc do gołej ziemi.

Toteż „czerwone upiory" Kremlu nie chcą dopuścić do wybuchu wiszącej na włosku wojny z Japonją; i z właściwym sobie cynizmem, aby ratować siebie, wygrywają antywojenne, sentymenty Europy, chcąc zabezpieczyć sobie przeciwko Japonji (i Niemcom) pomoc tych samych narodów, którym jutro dobiorą się do skóry. Tu ma swe źródło komedja z wstąpieniem Rosji do Ligi Narodów, które odbyło się przed dwoma tygodniami naskutek zaproszenia ich grzecznym, uniżonym reweransem 39 państw globu.

Cała ta miłość pokoju, dla której stara cywilizacja europejska stawia dziś na swojem czele tow. Wałłacha Litwinowa, polega na panicznym strachu jego regime'u przed grożącą Sowietom na wypadek wojny katastrofą. Kłamać umieją bolszewicy po mistrzowsku, toteż nabierają bez skrupułów tę zbankrutowaną Ligę Narodów, którą uważają za zbiorowisko bandytów i durniów, i poczytują sobie za zasługę wyprowadzić ją w pole, tak jak prawowierny żyd poczytuje sobie za zasługę oszukać i zniszczyć goja.

Tak oto przedstawia się meritum sprawy, którą otacza się obłokami kłamliwych frazesów dyplomatycznych. W Lidze Narodów zasiadł — na zaproszenie państw chrześcijańskich — partner wyjątkowo interesujący: przedstawiciel systemu, który odmalowaliśmy wiernie choć pobieżnie, we wstępie niniejszego artykułu. Jeśli ktoś ma jeszcze złudzenia, kim są ci ludzie, z którymi przyjaźni się teraz i których okadza Europa, niech przeczyta książkę Srokowskiego (gorącego zresztą sympatyka Sowietów, jak widać i z tej książki i z jego publicystycznych wystąpień w IKC) p. t. „Na czerwonym Olimpie".

Proszę przeczytać np. biografję takiego tow. Petersa, którego zwie sam p. Srokowski „maszyną do siekania mięsa", który ma na swem „sumieniu" 100.000 zamordowanych ludzi, a który jest persona grata na Kremlu. „Sama świadomość, że mogą istnieć tacy ludzie jak Peters i że naprawdę istnieją, jest równie straszną jak niezrozumiałą dla każdego cywilizowanego europejczyka" (str. 107). Ale „rozmowa z Petersem jest dla młodszych czerwonych Olimpijczyków zaszczytem tem większym, że bardzo rzadkim i trudnym do dostąpienia. Gdy na liczniejszych zebraniach wyjątkowo Peters zabiera głos — wszystko z szacunkiem milknie" (str. 108). Jak widzimy, w tym sympatycznym regimie odwrócono pojęcia moralne, co jest zbrodnią — zasługuje na szacunek, natomiast cnota jest bezlitośnie tępiona.

A któż jest ten Litwinow? „Naprawdę nazywa się Wałłach i pochodzi ze średnio zamożnej rodziny żydowskiej, gdzieś z Mohylowa czy z Mińska" (str. 148). „W przedwojennym świecie dyplomacji międzynarodowej Litwinow byłby na lokaja za gruby i za ciężki, na ministra zaś i ambasadora za prymitywny. Ale do powojennej dyplomacji światowej nadaje się on doskonale... Ze swoją psychiką drobnego kupca i faktora, który handluje czem się da, Litwinow wnosi do tej dyplomacji tę właściwą jej dzisiaj całkowitą bezideowość, którą delikatniej nazywa się „rzeczowością"... To też w Genewie ta z początku humorystycznie działająca postać stopięćdziesięciokilowego anioła pokoju, którą od początku konsekwentnie odstawia Litwinow, wybiła się dzisiaj na plan pierwszy" (str. 152).

Przenikliwy publicysta nie pomylił się. Tegoż tow. Litwinowa wprowadzono ostatnio triumfalnie do areopagu narodów, a nieoficjalnie donoszą z Genewy, że w przyszłym roku Litwinow zostanie prezesem Rady, czyli kierownikiem — może nietylko nominalnym — wszechświatowego związku państw. Cytowany powyżej publicysta zaznacza w IKC, że ta Europa, która niegdyś nie mogła Francji zapomnieć jej okrucieństw rewolucyjnych, tworzyła przeciw niej koalicje przez lat 20 i przyjęła ją napowrót do rodziny państw dopiero po zupełnem upokorzeniu w zdeptanym przez obce wojska Paryżu — nie zdobyła się w stosunku do stokroć potworniejszej i okrutniejszej rewolucji sowieckiej na żadną akcję intensywniejszą, a dziś stawia ją na swem czele, nie żądając od niej ani ukorzenia się, ani odwołania któregokolwiek z jej haseł, ani nawet żadnych wiążących zobowiązań. W ten sposób Sowiety wkraczają na arenę genewską jako czynnik najbardziej uprzywilejowany i siłą rzeczy wysuwający się tam na plan pierwszy. Że zaś nie wzmocni to bynajmniej nadwątlonego autorytetu Ligi, lecz — przeciwnie— jeszcze bardziej go osłabi, tow. Litwinow widzi już zapewne w niedalekiej perspektywie tak upragnioną ruinę tego systemu, jaki Liga Narodów, jako przedstawicielka cywilizacji europejskiej, dziś symbolizuje, i dźwignięcie na jej rumowisku „nowego gmachu pokoju", którego budowniczym, fundamentem i sklepieniem będą Sowiety, a który podda oszołomioną, zaskoczoną ludzkość ich przemożnemu zwierzchnictwu. Niedaleko stąd do generalnej bolszewizacji świata, w postaci przykrojonej może do odmiennych warunków na Zachodzie, ale temniemniej niszczącej nieodwołalnie te wartości duchowe, jakie wniosło do Europy chrześcijaństwo, a wprowadzającej na ich miejsce ohydny kult materjalistycznego Molocha. Tow. Litwinow może być pewien, że w tej kreciej, gangsterskiej robocie znajdzie czułą pomoc ze strony żydowstwa i ze strony światowładnego podziemia międzynarodówki masońskiej.

Litwinow na czele Ligi Narodów, — oto złowrogi symbol zdrady cywilizacji chrześcijańskiej przez bezecny areopag Europy współczesnej. Męski protest delegata Szwajcarji nie zrównoważy niesamowitego wrażenia, jakie wywołać musi to widowisko, nie zatrze efektu głosów największych mocarstw (niestety i Polski), padających na szalę historji. Europa osądziła się sama, zanim jeszcze Bóg ją osądził. Słowa p. Barthou, ironizującego cynicznie przemówienie Motty przeciwko Sowietom, zabrzmiały jak zgrzyt złowróżbny, świadczący, że umysłowość naszej elity intelektualnej i dyplomatycznej przegniła już i brzydko cuchnie. Należy tylko zaprotestować przeciwko twierdzeniu tego pana, że Polska — podobnie jak Francja i Anglja — bierze na siebie odpowiedzialność za Sowiety w Genewie. Polska takiej odpowiedzialności nie weźmie i wziąć nie może, bo byłby to policzek wymierzony tym, co polegli na pobojowiskach 1920 r., w walce o najwyższe wartości i ideały kultury chrześcijańskiej.

Ironiczne uśmiechy, jakiemi witają dyplomaci europejscy w Genewie słowa: Chrystus i religja, świadczą o zdziczeniu i nędzy duchowej tego świata, a może tylko o wielkiem jego schamieniu intelektualnem .Ci sami faryzeusze, którzy oburzali się na barbarzyństwa hitleryzmu, jakżeż dziecinne i przesadzone wobec wyrafinowanego bestjalstwa tamtego regime'u, uważają za słuszne i pożądane aby gwałciciel wszelkich norm etycznych i prawnych wyzbyty, prezydował w glorji gwaranta pokoju obradom genewskim. Jeśli potworność tej sytuacji wymyka się uwadze tych panów, to albo nie wiedzą oni co czynią, nie rozumiejąc nic z przeżywanych przez ludzkość przełomowych procesów historycznych (co czyni ich absolutnie niezdolnymi do sprawowania powierzonych im funkcyj), albo też grzeszą przeciw prawności i moralności międzynarodowej z całą świadomością, a więc ze złą wolą. W tym drugim wypadku są to przestępcy, których trzeba pozwać przed straszny trybunał historji. Dziejowa Nemezis nie chybia swoich wyroków; przyjdzie tedy sąd i na nich, i będą strąceni w pogardzie z tych piedestałów, na jakich się umieścili.

Niewrażliwość sumienia przeciętnego europejczyka na to niesamowite widowisko, jakiem jest wpuszczenie Sowietów do Ligi Narodów, wynika z idjotycznej, zupełnie błędnej interpretacji tego co się dzieje za czerwonym kordonem. Mało kto zdaje sobie dziś sprawę, że bolszewizm to nie zmiana systemu gospodarczego, lecz olbrzymi, masowy, planowo zorganizowany *upadek człowieka*, podobny temu, o jakim przechowały nam pamięć stare mity religijne; upadek, spowodowany rozmyślnie poto, aby ludzkość przestała istnieć, a w miejsce jej powstał jakiś nowy gatunek półzwierząt, półautomatów, poddany strasznej, niewidzialnej, zdecydowanie złej woli.

Sygnalizujmy S. O. S. Złoczyńca jest pomiędzy nami.

OTOKAR BRZEZINA

Świtanie na zachodzie

Oto maj cienia. Południa parne dawno już za sobą mamy.
Upojne sny krwi omdlały i czystszemi tonami grają.
W trzasku ognia się łamią płonące naszych więzień tramy
i u dróg nieźrałe nasze owoce w łunach zachodu dojrzewają.

Nie martw się, duszo, że aż w noc przyjdziemy do twego miasta granic
i że tylko w zmierzchu ujrzymy ogrody jego, odmawiające pacierze:
nasze własne umarłe dni z promieni swych uścielą mosty ścieżek
i blaskiem, wysłanych w przyszłość nadziei, będziemy powitani.

Dzień zorzą rozżagwia dale — noc mrokiem zapala błękity
Wyłomem zburzonych strzech niebo się nad nami odmyka.
W symfonji głosów braterskich, co dyszą od światów szczytu do szczytu
wonnym przepychem, jak pieśni łodzi płynących, gdy burta o burtę dotyka,

w rozkoszy światła ułudnego, w pieszczotach nieznanych słowa,
w cieniach, któreś na myśl nadziemską nawiła tajemnicami,
jak cnoty zduszony jęk, ujęty dzwonu ścianą spiżową,
sen ziemski twojej chwały barwnemi zalśni falami.

Wieczysty! Niech czułość nasza słodką się stanie dla tych, co w mękach toną.
Wznosimy hymn ze słów, które śmierć znaczą we wszystkich językach ziemi,
bowiem dla nas, którzy wierzymy, dzień Twój jest dobą dojrzewania gorzkawo-wonną,
wrzącą w kłosach bolesnych i wieczorem zrywaną Twem jasnem tchnieniem.

(Z tomu „Svitáni na západě").

Z czeskiego spolszczył Antoni Madej.

Wschód i Zachód

Z powodu książki prof. B. Jasinowskiego [1]

Ukazanie się książki prof. Jasinowskiego w momencie, gdy stary problem antynomji Wschodu i Zachodu staje się w Polsce szczególnie aktualny, powitać należy z radością. Pierwsza to bodaj próba syntetycznego ujęcia tego zagadnienia, dokonana w skali tak rozległej i przy pomocy tak precyzyjnej aparatury narzędzi poznawczych. Treść tego studjum i rozwinięta w niem problematyka, jest tak bogata i fascynująco nowa, że niepodobieństwem jest uporać się z nią w kilkusetwierszowej „recenzji można conajwyżej wyłuskać z niej kilka zagadnień, które nas szczególnie interesują, aby uczynić je przedmiotem raczej luźnych dywagacyj krytycznych, niż definitywnej oceny.

Książka prof. Jasinowskiego ma tę zaletę — w dziełach naukowych tak rzadką — że pobudza w wysokim stopniu, interes spekulatywny, wprawiając w ruch rozmaite władze naszego intelektu i zmuszając do snucia samodzielnych refleksyj. Ma ona wszelkie dane do rozpętania zasadniczej dyskusji w prasie naukowej i literackiej na temat: Wschód — Zachód, oraz na temat stosunku kreacyj duchowych Polski do rdzennych pierwiastków kultury rosyjskiej. Wciągnięcie naszej elity intelektualnej w tego rodzaju dyskusję miałoby ten dodatni skutek, że wyrwałoby ją z odrętwienia, w jakim się znajduje i otworzyłoby przed nią świat myśli o horyzontach przekraczających z rewolucyjnym rozmachem jej ciasny krąg widzenia, obwiedziony murem chińskim poskamandrowego Parnasu.

Sfinks odtajemniczony

Wiele się mówi w Europie o zagadce duszy rosyjskiej, o tej przepastnej „l'ame slave", tak bardzo różnej od urobionej w kuźni Rzymu i w ogniu hartującym doktryny katolickiej psychiki Zachodu. Prof. Jasinowski postawił sobie trudne zadanie odtajemniczenia tego zjawiska, przez sięgnięcie do warunków genetycznych, jakie kształtowały, w ciągu dziejów, jaźń rosyjską. Teza jego jest następująca: cała tajemnicza odrębność rosyjskiego „kręgu kulturowego", polega tylko na wiekowej infiltracji pierwiastków hellieńsko-bizantyńskich, t. j. tych wszystkich czynników, które spowodowały wielką herezję Kościoła Wschodniego. Słuszność tej tezy udowadnia prof. Jasinowski w swej książce tak rygorystycznie, że nie pozostawia miejsca na samodzielną twórczość rosyjskiego genjuszu narodowego (a przynajmniej udziela jej go bardzo niewiele. w dawkach aż zanadto może skąpych). Woła on: „wskażcie mi w tworach rosyjskiej świadomości filozoficzno-religijnej te myśli, któreby — choć wysuwane, jako specyficznie rosyjskie — nie były już wypowiedziane niegdyś przez Orygenesa i Gnozę". (Str. 144).

Platonizm i neoplatonizm, gnostycyzm i manicheizm, oto główne elementy życia duchowego Rosji w jego aspekcie filozoficzno-religijnym. Prof. Jasinowski uwzględnia w tym nurcie ośrodkowym, dwie wielkie odnogi: kościół wschodni oficjalny i liczne herezje sekciarskie, których wpływ był bodaj czy nie większy jeszcze; o ile doktryna oficjalna kościoła greckiego przeciwstawia się już bardzo wyraźnie woluntarystycznej i personalistycznej koncepcji jaźni, wypracowanej przez patrystykę zachodnią, o tyle systemy gnostyckie pogłębiają jeszcze tę różnicę podstawową przez spekulacyjny kontemplatywizm, roztapiający jaźń w Absolucie i rozluźniający osobowość. Autor schematyzuje te rozróżnienia w ciekawie skonstruowanej tablicy hypostatycznej, ukazującej budowę kosmosu duchowego Europy i Azji; zestawia on mianowicie obok siebie w szeregu zstępującym cztery „kręgi kulturowe": Kościół zach., kościół wsch., gnostycyzm i buddyzm (wraz z innemi indyjskiemi systemami filozoficzno-religijnemi). W pierwszym z nich jedność osobowości podkreślana jest bardzo silnie, z czem wiąże się prymat woli i koncepcja stworzenia świata przez akt woli Bożej (creatio ex nihilo); w drugim jedność osobowości jest już osłabiona na rzecz jaźni awoluntarystycznej, komtemplacyjnej; w trzecim pojawia się rozdwojenie (ewent. rozpylenie) osobowości, teizm zastąpiony jest przez panteizm, a zamiast stworzenia z niczego widzimy tam powstanie świata przez „rzut emanacyjny", proces twórczy; w czwartym wreszcie jaźń indywidualna staje się całkiem iluzoryczną, bezosobową, ideę Boga zastępuje ateizm metafizyczny.

Tablica ta umiejscawia plastycznie jaźń rosyjską — pomiędzy pozycją pierwszą a czwartą — jako zlewisko światopoglądu Ojców wschodnich i pesymistycznej doktryny manichejsko-gnostyckiej. Z tego wysnuwa już autor konsekwentnie dalsze rysy i pierwiastki duchowe tej psychiki: wspólność wiedzy i wiary, filozofji i religji, bytowania i powinności, akosmizm (nierealność natury), negację życia doczesnego, zbawienie przez przebóstwienie (deifikacja), przeciwieństwo wolności absolutnej w sferze hyperfizycznej oraz biernej uległości wobec władzy doczesnej w sferze fizycznej.

Metoda

Nie mogę referować tutaj treści książki, gdyż zbrakło by mi miejsca na nasuwające się przy jej czytaniu liczne marginesowe refleksje, których nie chciałbym się wyrzec. Odsyłam tedy ciekawych do recenzji mojej, zamieszczonej w numerze IX — X „Gazety Literackiej", gdzie poprzestałem na wiernem zreferowaniu tekstu. Tutaj powiem jeszcze parę słów o metodzie, jaką prof. Jasinowski obrał w tej pracy.

Aby uniknąć schematyzacji abstrakcyjnej tego i tak już trudnego zagadnienia, autor postanowił rozpatrywać je w aspekcie historyczno-psychologicznym, próbując uchwycić „stawanie się" rosyjskiego świata duchowego w jego dynamice rozwojowej, w przebiegu dziejów i w jego perypetjach psychicznych. W oparciu o ten realny grunt, w konfrontacji z rzeczywistością historyczną, szukał on tych podstawowych różnic kulturowych w przeciwieństwach świadomości prawnej i religijno-filozoficznej mas Zachodu i Wschodu, przeciwieństwach, wyłaniających się pod wpływem różnic dogmatycznych obu Kościołów, ale i nawzajem oddziałujących twórczo na kształtowanie się tej antynomji dogmatycznej.

W ten sposób wytropił on w podziemiach świadomości rosyjskiego życia duchowego, w najgłębszych warstwach podświadomego, czynniki warunkujące a priori stosunek jaźni rosyjskiej do świata, a przez nią samą niedostrzegane, tak jak nie widzi się powietrza, którem się oddycha. Pozwoliło mu to podjąć, w nowej i oryginalnej interpretacji tak znamienny dla Wschodu problemat Dobra i Zła, oraz wieczystego dualizmu „duszy rosyjskiej", rozkołysanej w biegunowo sprzecznych skrajnościach.

W analizie genetycznej sekciarskiego mistycyzmu, sięgającego korzeniem do wyżej wspomnianych systemów gnostyckich, prof. Jasinowski nie pominął ważnego działu patologji anormalnych i paranormalnych stanów psychicznych. Szukając przyczyn zawieszenia jaźni rosyjskiej pomiędzy Dobrem i Złem, jej rdzennego dualizmu, znalazł je przedewszystkiem w znanej badaczom zjawisk psychopatycznych ambiwalencji uczuć i wartości (polegającej na tem, że jeden i ten sam przedmiot budzi równocześnie zachwyt i odrazę, miłość i nienawiść), oraz w schizofrenicznem rozszczepieniu osobowości.

Przekonany o ciągłości dziejów każdego „kręgu kulturowego", dzieli autor proces tworzenia się rosyjskiej świadomości prawnej i filozoficzno-religijnej na trzy kolejne etapy, starając się wykazać, że przesłanki do każdego z nich tkwiły już w etapach poprzednich, co daje obraz swego rodzaju „sceny narastającej"; nawet bolszewizm współczesny, choć tak djametralnie rzekomo przeciwny rosyjskiemu poglądowi na świat, urobionemu w cerkwi wschodniej, sektach mistycznych i niedawnem słowianofilstwie, okazuje się, w tem oświetleniu, zjawiskiem rdzennie rosyjskiem i logicznie wynikającem z etapów poprzednich. Tezy słowianofilskie o bezstanowości narodu rosyjskiego, o prawdzie ekumenicznej, („sobornoje naczało") i posłannictwie Moskwy — Trzeciego Rzymu, odnajdujemy z łatwością w komunie, ubrane tylko w szatę heglowsko-markssowskiej djalektyki materjalizmu historycznego. Jedna kardynalna zmiana: zastąpienie idei Boga i doktryny prawosławnej przez integralny ateizm i religijny kult prawdy klasowej, wystarczyła w zupełności do spowodowania tak potwornego przewrotu.

Kilka słów o rasizmie

Prof. Jasinowski przystępując do swej pracy z całym objektywizmem uczonego, stwierdza jednak na każdej niemal stronicy książki, że sympatje jego są po stronie doktryny katolickiej z jej jaźnią woluntarystyczną i naciskiem na jedność osobowości. Podzielam jego stanowisko, jeśli idzie o prymat woli przed spekulatywizmem kontemplacyjnym, i o wyższość ukształconej, autonomicznej osobowości nad hinduistycznem roztopieniem jaźni w absolucie. Jednakowoż — z perspektywy celów ostatecznych historji — indywidum, wolna osobowość jednostki, zdaje mi się być wartością równorzędną z powszechnością, z globowym związkiem duchów, z ich samorządem apo synodon, t. j. z ludzkością. O ile Zachód rozwinął się jednostronnie w kierunku praw i wartości absolutnej jednostki, atomizując ludzkość na indywidua, o tyle Wschód wykazuje tendencję wprost przeciwną do schłonięcia indywiduum przez powszechność. Mamy tu wyraźny podział ról, co dowodzi, że proces dziejowy polega na gromadzeniu poszczególnych elementów przyszłej syntezy, która dokonać się powinna naprzód przez ich koordynację, a później przez integrację w pełny typ Ludzkość-Człowiek (to co religja ukazała nam alegorycznie w postaci Boga-Człowieka). Najwyższym problematem ery nadchodzącej zdaje się być wyciągnięcie wniosku końcowego z tych dwu olbrzymich przesłanek, a mianowicie sharmonizowanie wartości, wypracowanej przez Zachód (indywiduum), oraz wartości wypracowanej przez Wschód (powszechność) w jednym systemacie moralno-społecznym, znajdującym swój wyraz również w dziedzinie ustrojowej. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń z dziejów Polski oraz na podstawie gruntownej znajomości doktryny mesjanicznej, tej rdzennej kreacji ducha polskiego, pozwalam sobie mniemać, że jest to właśnie posłannictwem historycznem Polski; w aspekcie ogólnej teleologji dziejów zrozumiałym byłby wówczas zarówno podział spontaniczny starego chrystjanizmu na kościół rzymski i grecki, jak i położenie geopolityczne Polski, o którem tyle się dziś mówi i pisze.

Jeśli się już wspomniało o podziale teleologicznym posłannictw i przeznaczeń między poszczególne „kręgi kulturowe" i narody, nie sposób pominąć owego tak bardzo zaktualizowanego zagadnienia rasy. Prof. Jasinowski powiada, że jeśli uda mu się udowodnić, że właściwości plemienne jaźni rosyjskiej nie są w gruncie rzeczy rosyjskie, lecz pochodzą z kombinacji wpływów helleńskich i bizantyńskich plus sekciarstwo wschodnie, będzie to jeszcze jeden walny argument przeciwko modnym dziś mitom rasowym. Otóż uważam, że mit rasy — zwłaszcza w jego hitlerowskiej prymitywnej interpretacji — jest równie wielkim absurdem, jak socjalistyczny mit proletarjatu. O ile jednak religja rasizmu, sprowadzająca postęp do warunków bio-mechanicznych, jest degradacją Logosu na rzecz Biosu, a więc hańbą naszej wychowanej w wysokich ideałach transcendentnych chrystjanizmu, „kulturalnej" części świata, o tyle znowuż całkowite pominięcie współczynnika rasowego byłoby błędem z punktu widzenia heurystyki historycznej. Rasa jest to zespół cech pierwszych, które w dzieciństwie danego „kręgu kulturowego" wprawiają w ruch pewne specyficzne „napięcia kierunkowe", dzięki którym staje się on twórcą nowych, oryginalnych wartości, nosicielem nowych światopoglądów i doktryn, które „nie leżą" w charakterze tamtych środowisk. Umożliwia to spontaniczny ruch djalektyczny dziejów, zanim jeszcze samowiedza zbiorowa dojrzeje — dzięki kulturze filozoficznej — do zrozumienia wartości powszechnej pojęć takich jak: prawda absolutna, ludzkość, człowiek. Essencjalnie rasa jest czynnikiem drugorzędnym, bezspornie niższym; substancjalnie jednak naturalny jej wpływ na przygotowanie elementów dziejotwórczych przyszłej syntezy, jest bardzo duży.

Wydaje mi się, że szybkie rozszerzenie się kościoła greckiego i systemów gnostyckich na obszarze eurazyjskim, dowodzi podatności tamtejszej psychiki na ten świat pojęć i wyobrażeń. Gdzieindziej doktryny te natrafiłyby na opór nieprzezwyciężony. Przypominam historję buddyzmu, który powstał w Indjach, został jednak — z tych właśnie powodów — z łatwością przez braminów z doliny Gangesu wyeliminowany, podczas gdy masa mongolska przyjęła go bez oporu; triumfy buddyzmu na tym terenie zdumiewają swoją szybkością i żywiołowością.

Idea prawdy ekumenicznej, zbawienie przez deifikację, jedność filozofji i religji, wydawać się muszą europejczykowi czemś obcem; jednakowoż w aspekcie najwyższej celowości procesu dziejowego, wychowanie jaźni rosyjskiej właśnie w tych zasadach okazać się może przygotowaniem zgóry przez Opatrzność potężnego narzędzia zbawiennego przełomu duchowego. Zdaniem Wrońskiego n. p. posłannictwem Rosji jest utworzenie nowego zrzeszenia moralnego, trzeciego obok Kościoła i Państwa, zrzeszenia kierowniczego (jakby: synodu ludzkości), które zwie on — w terminologji swej doktryny — Unją Absolutną. Nastawienie psychiki rosyjskiej w tym kierunku wywołać może — póki jest nieświadome i nie zna swoich przeznaczeń — różne potworne zboczenia ustrojowe (egz. bolszewizm); opierając się jednak na tezie prof. Jasinowskiego o ciągłości dziejów duchowych rosyjskiego kręgu kulturowego, możnaby przypuszczać, że tak słowianofilstwo, jak biegunowo mu przeciwny bolszewizm, stanowią tylko przesłanki do przyszłego, nowego etapu, w którym nastąpi koordynacja ideji słowiańskiego Państwa Boga z komunistyczną ideją samorządu ludzkości — w trzeciej, najwyższej idei Unji Absolutnej ludzkości, kierującej glob środkami rozumowemi (dzięki utożsamieniu filozofji z religją) ku jego celom ostatecznym, pokrywającym się skądinąd z celami Bożemi w planie stworzenia wszechświata.

Rzeczywistość rosyjska

Proste to rozwiązanie, jakie ukazałem hypotetycznie powyżej, może się w rzeczywistości okazać nie tak symplicystycznem, zakradają się tu bowiem czynniki ważkie i skomplikowane, które wzbogacają ów schemat abstrakcyjny o całe ingenium możliwości, jakie dziś trudno przewidzieć. Mam na myśli przedewszystkiem owe pierwiastki gnostyczne duszy rosyjskiej, które znalazły swój wyraz w tamtejszych okropnościach sekciarskich, a które mieszczą się wszystkie w problematyce Dobra i Zła, mającej u podstawy to tak charakterystyczne rozszczepienie dualistyczne i rozluźnienie paranormalne osobowości rosyjskiej.

Rozszczepienie to, dające się znowuż usystematyzować w antynomję: Logos—Bios, której uzewnętrznienie mamy w prastarej rosyjskiej zagadce apokaliptycznej: Chrystus - Antychryst, sięga w dziedzinę zagadnień metafizycznych tak zawrotnych i trudnych, że nie chciałbym zapuszczać się w ich gąszcz w tym artykule. Naszkicuję jednak przynajmniej ogólny zarys bazy transcendentalnej, na której mogłoby nastąpić definitywne rozwiązanie tej zagadki (w przyszłości dam może na ten temat nieco obszerniejszy wywód).

Jaźń rosyjska, wzlatująca tak łatwo w suprahistoryczną sferę wolności absolutnej, oswobodzona ze związku ze społeczeństwem, państwem i prawem, oraz z niskich widnokręgów życia doczesnego, spada przy lada zetknięciu z rzeczywistością konkretną na samo dno zwierzęcości fizycznej. Współżycie bestji i Logosu, uosobionego rozumu ludzkiego, jest tu kompromitująco bliskie. Stąd owa kruchość moralna, związana w mitach religijnych z zamierzchłym upadkiem człowieka. Współżycie to budzić musi niewątpliwie coś w rodzaju lęku metafizycznego, wyolbrzymiającego tajemnicę kosmiczną odwiecznej walki Dobra ze Złem. W ślad za tem idzie nienawiść do władającego duszą Zła, nienawiść, która jednak kryje w sobie także podziw dla staszliwej potęgi Zła, stawiający je na piedestale obok potęgi Boga. Mamy tu manichejski, zakorzeniony w doktrynach staroperskich dualizm Dobra i Zła, przeświadczenie o równorzędności tych sił kosmicznych; że zaś Zło to osadzone jest jaknajintymniej gdzieś w warunkach wnętrznych cielesności, podświadomego życia fizycznego, więc przeciwstawność ta sprowadzona zostaje do antynomji: Logos - Bios. Rozpoznajemy tu odrazu motyw nienawiści gnostyckiej do ciała, utożsamiającej fizyczność ze Złem stworzonem; stąd krok tylko do uznania Zła w świecie stworzonym (przeciw czemu tak oponował Plotyn w swej polemice z gnostykami), do teży o stworzeniu świata przez Demiurga „istotę złą", a conajmniej niedoskonałą, do utożsamienia Boga Starego Testamentu, jako Twórcy świata fizycznego, z Demiurgiem, oraz do wtórnej tezy, iż świat jest rezultatem odpadnięcia części duchów od Boga. Także pesymizm tych doktryn staje się zupełnie zrozumiały.

W ten sposób dusza rosyjska znajduje w sobie samej, jako bezpośrednio sobie znany fakt psychiczny, znieprawienie swego pierwiastka cielesnego i wolność hypostatyczną swej Nadnatury, królestwo Antychrysta tuż obok królestwa Chrystusa. Nie ma ona zaś w sobie całego rynsztunku antitoksyn psychicznych, w jakie uzbroiła doktryna katolicka i historja Zachodu indywidualność Europejczyka. Zachodni optymizm jest wynikiem ustawicznej, zwycięskiej interwencji ludzkiej woli w świat realnych, doczesnych zmagań z naturą. Człowiek Zachodu zaangażowany jest bezpośrednio w sprawy życia doczesnego i w sprawy historji. On tę historję sam tworzył i przechowuje w sobie cały zasób doświadczeń z tej dziedziny. Każda jego myśl ,każdy wzlot jego rozumu posiada swój odpowiednik, swój wypracowany w świecie realnym symbol, w postaci jakiegoś dzieła zbiorowego, wywalczonego prawa, czy instytucji publicznej. Rosjanin żył poza historją, jak to podkreśla z naciskiem Brzozowski. Nie uczestniczył całym sobą w kształtowaniu się struktury społeczno-ekonomicznej i ustroju państwowego, nie został uobywatelony, unosi się jak duch ponad historją. Stąd brak wprawy w rozwiązywaniu problematyki życia, brak umiejętności poruszania się w Nie — Ja, w owem środowisku kosmicznem, o którem Brzozowski umie pisać tak fascynująco, jako o wielkiej niewiadomej, z którą uczy się porać człowiek. Wielka Niewiadoma, którą europejczyk roztajemniczał przez twórczość i pracę własną ,jest dla Rosjanina wciąż tylko mistyczną, apokaliptyczną tajemnicą. Toteż odwieczny problemat stosunku Ja do Nie-Ja, rozumu świadomego do otchłani biologicznej nadanego nam przez nieznaną przyczynę życia, jest tam spowity w opary Apokalipsy, w całun śmiertelny patetycznej wzniosłości.

Nie daje to nam podstaw do wnioskowania stąd o bezwzględnej wyższości Zachodu. Sprawiedliwość dziejowa wyrównała to w ten sposób, że człowiek Zachodu dotknięty został prawdziwym paraliżem swoich potencjalności transcendentnych; ugrzązł on niemal całkowicie w życiu materjalnem, doczesnem i cała ta problematyka metafizyczna wyższych pięter duszy jest dlań obca. Indyferentyzm zarówno filozoficzny, jak religijny mas europejskich, ich laicyzacja, immanentyzacja powszechna ideału życiowego, oto dobrze nam znane zjawiska, które spowodowały wreszcie olbrzymie przesilenie materjalistycznej cywilizacji zachodniej, jakie dziś przeżywamy. W przesilenie to wciągnęliśmy i Rosję. Uczynił to materjalizm dziejowy Marksa. Jednakowoż na gruncie rosyjskim zjawisko to przybrało postać nieco inną, przenosząc proces immanentyzacji znowuż w apokaliptyczne wymiary upadku człowieka, brutalnego zwycięstwa rosyjskiego Biosu nad Logosem, wyrażającego się w fanatycznem, świadomem oderwaniu człowieka od Boga.

Mistycyzm i demonizm

Gnostycka antynomja Biosu i Logosu, Zła i Dobra, materji i rzeczywistości myślnej, przerodziła się z łatwością — przez psychologicznie wytłómaczalne odwrócenie wartości — w uwielbienie ciała, przez wciągnięcie go w proces przebóstwienia, a nawet w seksualizację Bóstwa. Mamy tu — potencjalnie zawarte — zagadnienie „zmartwychwstania z ciałami", na co wskazałem w pracy mej o Brzozowskim[2]), z racji jego analizy rosyjskiej jaźni romantycznej[3]). Kobiecą postać Bóstwa (Sołowjewa „mądrość sofijska") tłómaczę sobie inaczej niż prof. Jasinowski, nie mam już jednak tu miejsca na rozwinięcie tego arcyciekawego zagadnienia. Cała koncepcja seksualizacji Bóstwa, kulminująca w pojęciu „Pleromy" (idea, gnostyka Walentyna o nieskończonej hierarchji istot bosko - ludzkich, wypełniających lukę między człowiekiem a Bogiem) jest prostą antycypacją mistyczną pewnych tajemnic religijnych, jak Trójcy św. (współistnienie osób boskich), świętych obcowania, hierarchji chórów anielskich, tajemnic, które dadzą się wyjaśnić na drodze rozumowej, czysto abstrakcyjnej, ale tu w tej grubej, zmysłowej interpretacji przybierają postać odrażającej herezji.

Zanim filozofja nowoczesna dokona penetracji rozumowej tej dziedziny problemów hyperfizycznych, musi ona wprzód załatwić się z problematyką wstępną mistycyzmu, który jest rzeczywistością zupełnie dotąd naukowo nie zbadaną, terenem popisów umysłowości mętnych, do wyjaśnienia tej kwestji absolutnie nieprzygotowanych. Dobrze jest, że umysł tak ścisły jak prof. Jasinowski zwrócił uwagę na ten przedmiot; pozwalam sobie jednak twierdzić, że i on będzie tu w położeniu arcytrudnem, nie ma bowiem żadnych precedensów naukowych, ani narzędzi, któremi mógłby się posłużyć. Z filozofów europejskich, jedyny dotąd Hoene-Wroński opracował dokładnie tę dziedzinę, otrzymując, dzięki swej niezawodnej metodzie genetycznej, Prawu Stworzenia, wyniki klasyczne, mogące stać się kanonem obowiązującym dla badań wszelkich form mistycyzmu. Systemy gnostyckie są jedną z formacyj mistycznych najbardziej skomplikowanych, toteż studja nad niemi szczególnie wymagają takiego przygotowania. Poruszone przez prof. Jasinowskiego problemy: antynomji Dobra i Zła, oraz seksualizacji mistycznej Bóstwa, należą do zjawisk supra-psychicznych z zakresu demonizmu. W jakich pokładach jaźni ukryte są pierwiastki demonji mistycznej, rozszczepione dualistycznie na kakodemonizm („zła zasada"), i agatodemonizm („dobra zasada"), precyzuje to doktryna Wrońskiego, dając definitywne komentarze do psychologji świętych, a także do wszystkich tych zboczeń satanicznych, do których ma tendencję tak silną jaźń rosyjska.

E. Skiwski, w swym interesującym zresztą artykule o książce prof. Jasinowskiego (oby w „Pionie" ukazywało się więcej artykułów na tym poziomie), zarzuca autorowi poważne braki stylistyczne. Mojem zdaniem najniesłuszniej. W przeciwieństwie do innych naszych uczonych (egz. prof. Brückner, jako jaskrawy przykład), prof. Jasinowski pisze stylem precyzyjnym i nader przejrzystym. Rzekomo wybujała terminologja filozoficzna jest w pracy tego rodzaju narzędziem nieodzownem; dzięki niej osiąga się jednoznaczność pojęć. W przeciwieństwie do wyrazów polskich, używanych w mowie potocznej, terminy łacińskie pozwalają w większym stopniu jednoznaczność tę zafiksować.

Jerzy Braun.

---

1) *Bogumił Jasinowski: Wschodnie chrześcijaństwo a Rosja.* Na tle rozbioru pierwiastków cywilizacyjnych Wschodu i Zachodu. Wilno 1933. Nakł. Inst. Nauk. Badawczego Europy Wschodniej. Str. 173.

2) „Metafizyka pracy i życia". Rzecz o Stanisławie Brzozowskim. Bibljoteka Zet; rozdział o kryzysie rosyjskiej jaźni romantycznej.

3) Prof. Jasinowski twierdzi, że romantyzm — jako zjawisko zachodnio-europejskie — nie dotarł wcale do Rosji; ja pozwalam sobie sądzić o tem inaczej i kiedyś zabiorę głos i w tej sprawie.

OTOKAR BRZEZINA

Przyroda

Muzyką grały skryte źródła i dzień mój dla niej śpiewał swą pieśń
na brzegach osowiałych.
Smutek życia darowanego, z któregom wyszedł, wiał mi z woni,
z szumu drzew, z ciężkiego brzęczenia owadów nad wodami,
i wieki całe leżały między ręką moją, rwącą kwiaty a niemi,
między mym wzrokiem a tajemnym światem.

Obłoki przyćmiły słońce zachodnie. Dusza ma wiatru się pytała:
Są to obłoki wschodzące czy odpływające?
Umilkły wiatry, w posłuszne zwierciadła wygładziły się wody,
a gwiazdy, jak ognie zgasłe w lodowych falach świetlistego morza,
wrzały i szumiały nade mną niedostrzegalne:
Światło umiera tylko pod zalewem jeszcze większego światła,
jeszcze większego, większego światła.

(Z tomu „Větry od pólu").

Kiedy niebo wasze okna ozłoci...

Kiedy niebo wasze okna ozłoci i w słońcu miłości
gdy płody skwarem zbronzowieją, rwijcie je i jedzcie,
i świętą radość sławcie, poselstwo wieczności,
a słowom jej tajemnym w imieniu braci odpowiedzcie.

Radość jest jak pieśń zgubiona życia wyższego,
śpiewana w mistycznem upojeniu wina,
jak uśmiech na różowej twarzy śpiącego,
który zbudzony nagle o śnie zapomina.
Braterstwa oddźwięk, co wszystkie dusze targa
poczuciem jedni, w odmętach czasu się tworzy,
do których lata darowne ze swoim uszły plonem
kanałami zachodów krwawych, przez czarne fale morza,
przez czarne fale morza,
gdzie łąki na dnie, gwiazdami rozkwitłe, w czarownej ciszy płoną.

Chłód wieje przepaściami czasu i jesień miłująca
już siejbę słońc nam dała przedwiecznych: więc róże kwitną ranem
i dusze w błękit radości zwołują się, jak ptaki śpiewające,
zlatując w szyk trójkątny nad wonią oceanów.

(Z tomu „Stavitelé chrámu").

Spolszczył Antoni Madej.

Dzieła zebrane Cyprjana Norwida

Dzieła Cyprjana Norwida. (Drobne utwory poetyckie — poematy — utwory dramatyczne — legendy, nowele, gawędy — przekłady — rozprawy wierszem i prozą). Wydał, objaśnił i wstępem krytycznym poprzedził Tadeusz Pini. Z czterdziestu ilustracjami w tekście i poza tekstem i pięciu podobiznami autografów. Warszawa 1934. Str. 648. Nakł. Spółki Wyd. „Parnas Polski".

Książka ta ukazuje się jako tom V-ty „Bibljoteki Poetów Polskich" pod redakcją prof. Tadeusza Piniego, który wyjaśnia w przedmowie, że „wydanie niniejsze powstało wyłącznie z obowiązku dostarczenia prenumeratorom „Bibljoteki Poetów Polskich" tych dzieł wybitnych, tak głośnych i poszukiwanych, a nie znajdujących się w handlu księgarskim". Na obowiązku tym dobrze jednak wyszli nietylko wspomniani prenumeratorzy, ale i cała kulturalna Polska, pragnąca oddawna zapoznać się z całokształtem twórczości norwidowej, a odsuwana tak zazdrośnie przez opieszałego Miriama od tych kastalskich źródeł. Zaiste, słuszność ma prof. Pini, gdy mówi, że uważał za nieodzowne wypuszczenie jaknajśpieszniej na rynek księgarski takiego chociażby niekompletnego wydawnictwa „bez względu na to, czy już ukazał się w druku ostatni, zazdrośnie strzeżony jego autograf i czy nawet będzie można zebrać bez reszty ogłoszony już materjał". Za pośpiech ten należy się szczera wdzięczność gorliwemu i obowiązkowemu wydawcy. Obiegają wprawdzie pogłoski, że nieubłagany Jowisz-Miriam, rozparty wygodnie na pierzynach chmur w pozycji dość ospałej, obudził się nagle na wieść o dokonanem bez jego aprobaty wydaniu zbiorowem i wytoczył proces prof. Piniemu o prawa autorskie do Norwida, grożąc nawet przymusowym aresztem „Dzieł Cyprjana Norwida" i wycofaniem ich z obiegu. Byłoby to jednak ostateczne zdepopularyzowanie się Miriama w oczach społeczeństwa, które ma dość tajemniczych praktyk z zatajeniem najcenniejszych dokumentów naszej kultury i usuwanie mu z przed nosa gotowego już wydania powitałoby pomrukiem oburzenia. P. Przesmycki zaś, mimo swej pogardy dla tłumu, winien pamiętać, że właśnie on, który karmił się przez całe życie owocem łatwo zdobytej—w okresie młodości—dobrej sławy, postąpiłby najnieopatrzniej, gdyby wytrącił sobie samemu z pod nóg ten jedyny postument na którym stoi.

Nie wiem, jak zareagują inni wydawcy, krytycy i miłośnicy Norwida na śmiałe skorygowanie przez prof. Piniego zewnętrznej formy utworów, owej specyficznej techniki interpunkcyjnej i graficznej, jaką stosował Norwid z takiem zamiłowaniem. Być może że oburzą się na to, boć to przecie bardzo charakterystyczna właściwość *stylu*, której pominięcie jest niewątpliwem zniekształceniem oryginału. Ja jednakowoż, mimo całego pietyzmu dla Poety, przychylam się do intencji wydawcy, który chciał pisma te naprawdę spopularyzować, choćby przez ułatwienie samego czytania tekstów. Niska, niezwykle przystępna cena „Dzieł", oraz skromna — choć w swej bezpretensjonalności sumienna — szata zewnętrzna wydawnictwa, dowodzi, że przeznaczono je dla szerokiego ogółu czytelników. Nieliczni wybrańcy, wrażliwi na smak poezji Norwida, w całej jej autentyczności i swoistej formalnej strukturze, odnajdą ją zawsze w dotychczasowych, bardziej arystokratycznych edycjach Miriama, Zrębowicza, Cywińskiego.

Po podkreśleniu jednakowoż dobrych stron wydawnictwa prof. Piniego, zmuszony jestem rozpisać się — w mniej już przychylnym tonie — o przedmowie, jaką je „przyozdobił". Prof. Pini protestuje energicznie przeciw dopatrywaniu się jakichś głębi myślowych w dziele Cyprjana Norwida; otóż powołam się tutaj na jedną z tych koncepcyj, należących do norwidowego „systemu pojęć", na jego, tak charakterystyczną ideę o „przemilczeniach". Gdyby T. Pini ją zrozumiał, może zdobyłby się sam na takie, pożyteczne dla niego „przemilczenie"; byłby mianowicie zrezygnował z napisania przedmowy, która szkodzi powadze i zasłudze dokonanego przezeń dzieła. Gdyby została dla potomnych wyłącznie pamięć o tem, że prof. Pini pierwszy dał Polsce całokształt pism zebranych Norwida — i to w momencie tak tęsknego na to wyczekiwania — chluba stąd płynąca byłaby wielka. Ale że prof. Pini spróbował jednocześnie na samym wstępie pomniejszyć wielkość i sławę Poety, pomniejszył tą niepotrzebną gadatliwością samego siebie.. Jeżeli przedmowy i komentarze Miriama gniewają bombastyczną napuszonością i deklamatorskiem wykrzykiwaniem superlatywów, bez ich uzasadnienia i bez wyświetlenia nawet właściwego sensu metafizycznej poezji norwidowej, to przedmowa niniejsza dziwi i oburza płytkością i jednostronnością podejścia do osobowości poety, wyrażonej tak plastycznie w jego utworach.

Tadeusz Pini przedstawia nam tragedję osobistą życia i twórczości Norwida w postaci karykaturalnie zniekształconej, a nawet zironizowanej: Szybkie zdobycie rozgłosu paru młodzieńczemi wierszykami w ówczesnej Warszawie — do tego stopnia wyjałowionej z talentów, że byle drobiazg rozdymano tam w monument sławy — spaczyło i zmanierowało Norwida na całe życie. Powodzenie na salonach warszawskich, w arystokratycznem środowisku, przewróciło mu w głowie snobizmem arcyszlacheckiego rodowodu; stąd nieszczęśliwe koleje jedynej w jego życiu miłości do dumnej pani Kalergis, u której stóp leżały największe ówczesne sławy Europy, a której rękę — może dlatego właśnie — Norwid zapragnął ambitnie zdobyć. Zawód miłosny złamał go i rozgoryczył, a nagły zwrot w opinji ogółu o twórczości poety, zamienił go w tragicznego odludka. Norwid sam był winien swoim niepowodzeniom literackim: pisał ciemno i niezrozumiale, nie dbał o formę i język swych utworów, obojętnym był na tragedję narodową, estetyzując i pisząc nudne, abstrakcyjne tyrady, gdy naród walczył o swój byt doczesny na ziemi. Wyobraził sobie, że można połączyć poezję z „pretensjonalnem, suchem i nudnem rozumowaniem"; chciał pouczać i suggerować czytelnikom swoje wątpliwej wartości teorje „naukowe", zamiast jej dawać codzienny chleb wzruszeń. Jego reakcyjna katolickość czyniła go niepopularnym w okresie walk o wolność i „wiosny ludów". Emigrantem, tułaczem bez ojczyzny, stał się Norwid przez przypadek; „Norwid ani nie myślał protestować ani walczyć przeciwko rządowi rosyjskiemu — owszem największem jego zmartwieniem był wówczas brak możności powrotu do Warszawy..." Norwid dopiero pod koniec życia dopracował się zrezygnowanego, cichego spojrzenia na świat i tej prostoty, której brak zarzucano jego wierszom; było to już w owym przytułku św. Kazimierza, pobyt w którym Norwid zresztą opłacał (jak zaznacza nawiasowo prof. Pini, aby odebrać współczesnemu czytelnikowi i ten motyw współczucia dla odtrąconego przez społeczeństwo poety).

Nie uważam za stosowne prostować konturów tego wizerunku, odrysowanego chyba z odbicia w krzywem zwierciadle; tembardziej, że sporządzono go — być może — na złość Miriamowi - Przesmyckiemu, aby rozjątrzyć egzaltowanego wielbiciela. Nie będę też stawał w obronie „reakcyjnej katolickości" i ewangeliczności Norwida, którą prof. Pini uważa tak kategorycznie za pogląd na świat już nieaktualny i przestarzały; widać bowiem z całego tonu przedmowy, że prof. Pini — wychowany w atmosferze pozytywizmu — jest radykalizującym liberałem, niezdającym sobie sprawy z przestarzałości jego własnej postawy, z przekonaniami społecznemi zaś walczyć trudno. Wystąpię natomiast przeciwko poglądom prof. Piniego na istotę twórczości poetyckiej i na rolę sztuki, gdyż one to właśnie kazały mu tak zlekceważyć walory estetyczne poezji Norwida.

Prócz poezji lirycznej, której zadaniem jest wzruszać, i prócz epickiej, której zadaniem jest plastycznie opisywać, istnieje także — o ile mi wiadomo — poezja *refleksyjna*, wkraczająca już w dziedzinę przeżyć, związanych z iljadą i odysseją *myśli* człowieka. Poezja nie powinna pouczać, należy to bowiem do literatury naukowej; ton dydaktyczny znajduję jednak w bardzo nielicznych utworach Norwida. Przygniatająca większość ich należy właśnie do kategorji liryki refleksyjnej t. j. do tego typu przeżyć estetycznych, w których poeta usiłuje znaleźć dorównany wyraz dla intymnej treści swego Ja. Dać wyraz bezinteresowny i plastyczny całej pełni swej osobowości, aż do jej najwyższych pięter, sąsiadujących z ideami prawdy, Boga, ludzkości, prometeizmu historycznego, — oto zadanie poezji. Norwid je dopełnił; był takim właśnie, jakim widzimy go w jego utworach. Cały urok i dziwność metafizyczna twórczości Norwida polega właśnie na tem, że reweluje nam ona indywidualność tak niezwykłą, egzemplarycznie rzadką i nową, że wyłuskuje ona jakby wszystkie naczelne *znamiona epoki*, zogniskowane w jednej osobowości, dlatego tak trudnej do zażyłego z nią obcowania. Czy nie dziwi prof. Piniego to choćby, że ten apostoł „suchego rozumowania", jest jednocześnie apostołem wiary, katechizmu, Kościoła? Ja widzę w tem fenomen jakiegoś, wyprzedzającego współcześników, stopu psychologicznego tych czynników, które wyrażają się w znamiennym dla naszych czasów „konflikcie rozumu i wiary". Nie rozumiem dlaczego poezja ma „usuwać z drogi trudy myślenia". Czyż myśl nie jest naszym własnym, ludzkim żywiołem życia, wznoszącym nas ponad wyłączność zmysłowej recepcji zjawisk, zwierzętom tylko właściwej? Jeżeli „raczej zupełny brak myśli przy zastosowaniu doskonałych środków technicznych, aniżeli nadmiar myśli, podawanych drogą rozumowania", to skąd narzekania panów profesorów na „trudność i zawiłość" poezji dzisiejszej, która przecież odrzuca myśl, a uznaje wyłączność oddziaływania na zmysły wrażeniami dźwiękowemi, wzrokowemi a nawet dotykowemi? A zresztą czyż Norwid nie kładzie nacisku na wrażenia zmysłowe i na technikę wiersza, on mistrz malarskiej i rzeźbiarskiej naoczności obrazów, niedościgniony wirtuoz metafory, tropu, aluzji, allegorji i wszelkich, najsubtelniejszych figur poetyckich?

Postawa historyczna Norwida dowodzi tylko jego nowoczesności. Brzozowski, ten kamerton swej epoki pisze przecież: „Złudzeniem poznawczem jest, że człowiek, jest w stanie wyjść w jakikolwiek sposób myślą poza historję". Żyjemy dziś właśnie historją a nie przyrodą, Panie Profesorze. Negatywny stosunek Norwida do europejskiej współczesności, był genjalnem przewidzeniem kataklizmu, jaki dziś przeżywa nasza cywilizacja, zagalopowana na manowce fałszywie pojętego postępu.

Skandaliczne niezrozumienie wiersza „Fortepjan Szopena" wykazał prof. Pini w karykaturalnej swej interpretacji jego ostatniej, najbardziej *wzruszającej* właśnie strofy.

Bronisław Borkowski.

Na marginesie kongresów

Na Międzynarodowym Kongresie Tomistycznym w Poznaniu (w ostatnich dniach sierpnia) wygłosił ks. kardynał prymas Hlond przemówienie inauguracyjne, w którem zabrzmiały akcenty oddawna w Polsce niesłyszane. Z prawdziwą satysfakcją cytujemy te słowa ważkie i autorytatywne, które w okresie przerażającego chaosu pojęć i zdziczenia umysłowego, wysunęły śmiało na plan pierwszy zagadnienie suwerenności filozofji i jej twórczego posłannictwa w historji. Ks. kardynał Hlond stwierdza głęboki związek pomiędzy ignorancją filozoficzną dzisiejszych sterników polityki międzynarodowej, reformatorów społecznych, ekonomistów i t. p., a obecnem przesileniem i katastrofą cywilizacji. W myśl tego arcysłusznego poglądu kryzys historji byłby tylko skutkiem i parallelą kryzysu intelektualnego umysłowości współczesnej. Ten drugi sygnalizuje nam niebezpieczne rozmijanie się ludzkości z prawdziwemi celami postępu, które ogniskują się przecież w tym celu uniwersalnym i najwyższym, któremu na imię: prawda. Jedynym organem poznania prawdy jest rozum, gdyby bowiem prawda była zasadą immanentną, do poznania jej wystarczyłyby nauki przyrodnicze z ich metodą doświadczalną, co wyeliminowałoby definitywnie filozofję spośród dyscyplin poznawczych. Do tego właśnie zmierza materjalistyczny typ kultury, wyprodukowany przez ludzkość w ostatnich dziesięcioleciach, a przeistaczający się po wojnie światowej w generalną autokompromitację. Jedyne wyjście z tego impasu, to nawrót do metod transcendentalnych, ponowne ustanowienie supremacji absolutu, jako ideału najwyższego filozofji, tem samem zaś renesans filozofji i triumfalna intronizacja jej na tron historji. Bez filozofji nastąpić musi samobójstwo kultury.

Oto jakie konsekwencje przezierają z poza przemówienia ks. kardynała Hlonda.

„Zbieramy się na te studja tomistyczne w chwili, kiedy się filozofja wprawdzie odradza, ale przeważnie nie jest jeszcze dopuszczona do wpływu na kształtowanie się nowych czasów. Bez filozofji, a często nawet bez wiedzy, odbywa się naogół polityka, która woli improwizację, kombinację i swobodę, niż zasadę i metafizykę. Bez filozofji zabiera się do przebudowy ustrojów socjalnych większa część społecznych nowatorów, których metafizyka nierzadko jest negacją przeszłości. Filozofję poświęca dla techniki kultura współczesna. Wogóle ludzkość tak mało pyta dziś o myśl filozoficzną. Któż to się dziś wogóle filozofją zajmuje? W poniewieranem średniowieczu filozofją kończyło się wykształcenie każdego inteligentnego człowieka, którego też zagadnienia filozoficzne całe życie zajmowały. Dzisiaj poza kandydatami do stanu duchownego iluż słuchaczy otacza katedry ścisłej filozofji? Komuż z praktycznych polityków, ekonomistów, socjologów, społeczników, architektów przyszłości przyjdzie na myśl pytać się filozofji o zdanie, kierunek, zasadę?

Skutkiem tego anarchja myśli i tragedje ludów polityczne, społeczne, kulturalne. Dokumentem tego większa część literatury współczesnej, poświęconej nowym czasom, a świadczącej o niebywałym chaosie pojęć. Charakterystycznym znakiem tego te pseudofilozofje, które się ex post dorabia do zaimprowizowanych faktów politycznych i społecznych.

Nie było to przypadkiem, że w przeddzień tej epoki przeobrażeń odkryto na nowo tomizm, który kiedyś stanowił ośrodek myśli ludzkiej i jedności życia, a był w kontakcie niemal z całą rzeczywistością współczesną i nie uchylał się w zakresie swych zadań od żadnego ważniejszego problemu życiowego. Opatrzność wyznacza mu znowu analogiczne, owszem większe posłannictwo. Niechże szybko dokonywa się jego restauracja i penetracja w dzisiejszym świecie. W harmonji z wiedzą i postępem niechżeż stanie się orjentacją filozoficzną nowych ruchów i przemian. Niech się stanie ponownie ośrodkiem filozoficznego poglądu na świat i kluczem do rozwiązania zagadnień dręczących bezradną ludzkość".

Zdaniem naszem tomizm nie może spełnić tej rozstrzygającej i zbawicielskiej misji, jaką mu ks. kard. Hlond przypisuje, problematyka bowiem obecnego przesilenia jest tak skomplikowana, że aby ją przezwyciężyć, trzeba już uwzględnienia nowych zdobyczy myśli spekulatywnej, poczynionych po śmierci św. Tomasza z Akwinu, przedewszystkiem zaś nowych metod, do których wstępem stała się kantowska metoda krytyczna. Jednakowoż tomizm oczyszcza umysłowość współczesną z wielu przesądów pseudoracjonalizmu, przygotowując jej zwrot ku zagadnieniom ostatecznym i ku racjonalizmowi absolutnemu, oznaczającemu definitywne pojednanie filozofji z religją. Filozofja absolutna Hoene-Wrońskiego jest jedynem dziś panaceum uniwersalnych rozwiązań w duchu niesprzecznym z naczelnemi tezami ery chrześcijańskiej, dotyczącemi istoty metafizycznej człowieka, świata i Boga. W jakiej mierze renesans tomizmu prostuje ścieżki tej arcydoktrynie, dowodzi choćby ten fakt, że najgłębszy kontynuator myśli filozoficznej Wrońskiego, myśliciel francuski Francis Warrain, jest jednocześnie przekonanym tomistą.

*

Międzynarodowy Kongres Filozofów w Pradze, którego otwarcie poprzedziliśmy w „Zecie" obszernym artykułem (nr. 11 „Europa w błędnem kole"), miał przebieg mniej więcej taki, jaki pozwoliliśmy sobie przepowiedzieć. Kongres ten, postawiwszy sobie za zadanie konfrontację myśli filozoficznej z współczesną rzeczywistością historyczno - społeczną, stał pod znakiem gorących dyskusyj, w których zagadnienie kryzysu demokracji wybijało się na plan pierwszy. Chwalebna ambicja organizatorów kongresu wywarła poważny wpływ na tok obrad, utrzymywanych rygorystycznie w ramach powyższego planu. Jednakowoż obawy nasze, że tendencje polityczne obecnego praskiego regime'u wycisną na przebiegu kongresu zbyt jednostronne piętno, okazały się słuszne. W myśl tych tendencyj, organizatorzy sporu wyznaczyli zgóry zwycięstwo obrońcom demokracji, w jej tradycyjnem, laicystycznem wydaniu. Nie oświadczamy się bynajmniej za faszyzacją życia, za państwem totalnem, za kolektywizacją i ograniczaniem wolności osobistej, przeciwnie, uważamy, że przejście od przymusu do wolności, od heteronomji do autonomji człowieka, jest celem najwyższym postępu, a więc i historji. Zarazem jednak twierdzimy z całą stanowczością, że ten typ wolności i humanizmu, jaki reprezentuje demokracja nowożytna, zrodzona z haseł rewolucji francuskiej, wprowadził postęp na tor zupełnie fałszywy, zimmanentyzował kulturę europejską i sparaliżował rozum ludzki w jego potencjalnie nieograniczonych możliwościach. Jeżeli chcemy naprawdę obronić wolność przed despotyzmem, osobowość przed kolektywem i rozum przed histerją, winniśmy zerwać kategorycznie z tą „fałszywą demokracją", z jej bankrutującemi hasłami i instytucjami, ona to bowiem jest winowajczynią całego obecnego przesilenia. Jej to bękartem właśnie jest owa antynomja społeczna, która wyraża się dziś w rujnującej świat walce komunizmu z faszyzmem. Trzeba nam dzisiaj szukać zupełnie nowych ideałów i nowych metod, a to przez przywrócenie pełnej suwerenności filozofji i rozumowi twórczemu. Filozofja nie w roli wasalki systemu demokratycznego, lecz filozofja sama w sobie, jako twórczyni norm powszechnych w dziedzinie teoretycznej zarówno jak praktycznej, oto problemat naszej epoki, oto prawdziwe państwo rozumu. Tego szczytnego, rozstrzygającego posłannictwa nie dostrzeżono niestety na kongresie praskim, mimo udziału tylu szacownych głów i mimo tak chwalebnych intencyj.

Min. dr. E. Benesz powiedział w swem inauguracyjnem przemówieniu, że filozofja powołana jest do wywikłania świata z chaosu umysłowego i moralnego, oraz z tej strasznej względności prawd i norm, jaka czyni nieznośnem nasze życie; poruszył, w związku z tem, podstawowe zagadnienia wolności i osobowości, oraz stosunku indywiduum do powszechności, jednostki do społeczeństwa. Jednocześnie jednak wykazał on ten sam sceptycyzm i minimalizm poznawczy, który ogranicza dziś potencjalność rozumu, nie pozwalając mu dźwignąć się ponad kredowe koło bezpośredniego doświadczenia, w kręgu którego zamknięty nie ma on żadnej perspektywy na krajobraz faktów i deklaruje swą bezsilność. Dr. Benesz mówił o czynnikach duchowych cywilizacji, o ich przewadze nad materją, ale wyrażał się z pogardą o „romantycznych koncepcjach, którym brak kontaktu z codziennem realnem życiem"; przez to samo zagrodził on filozofji drogę do transcendencji, ściągając ją w immanent, i nie dając jej wznieść się w świat czystego Logosu, skąd czerpie ona swoje najwyższe normy i ideały. „Codzienne realne życie" to właśnie ten chaos i potok względności, który nas zabija; supremacja jego nad filozofją uniemożliwia jej sięgnięcie do tych sił i norm, które stanowić mogą i powinny właśnie bazę i punkt wyjścia do płodnej reformy tego skompromitowanego „codziennego realnego życia". Życie jest plasteliną, którą urabia norma, ratio, a nie naodwrót. To dr. Benesz raczył w swych rozważaniach przeoczyć.

Na kongresie zaszedł incydent między jego organizatorami a prof. W. Lutosławskim; ten ostatni skarży się w IKC. na ograniczenie wolności słowa i wyeliminowanie jego referatu. W odpowiedzi na te zarzuty prof. Radl oświadcza, że o żadnem takiem szykanowaniu prof. Lutosławskiego nic mu nie wiadomo. Po czyjej stronie jest prawda? Awanturnicze nieco usposobienie prof Lutosławskiego jest notorycznie znane, ale — wobec specyficznych tendencyj kongresu praskiego — takie jednostronne potraktowanie referatu naszego filozofa uważać należy za niewykluczone.

O napis w izbie „Wesela"

Czytam nie bez pewnego zdziwienia: „Cybulski w swej książce p. t. „Z mroku jaśniejące Słowo" utrzymuje, że Wyspiański w świetlicy bronowickiej umieścił werset, względnie akrostych w języku greckim, wzięty rzekomo z ewangelji św. Jana. Wersetu tego nie znalazłem nietylko u św. Jana, ale wogóle w całem Piśmie św. Bywało w dworach szlacheckich, iż „cyfra Jego i Jej Mości strzelała z rury wymyśleniem wcale nowem", ale takiej dewizy jak w Bronowicach nie znał żaden dom w Polsce na całej przestrzeni miejsca i czasu i nie zna jej też zagranica" („Polska Druga" ze sierpnia r. b.).

Ktokolwiek jako tako uważnie mnie czytał, wie że nie idzie tu o żaden akrostych, ale że tym napisem - motywem przewodnim teatru Stanisława Wyspiańskiego — jest werset Ewangelji św. Jana:

A SŁOWO CIAŁEM SIĘ STAŁO.

Powtórzone to było wielokrotnie w „Zecie" i trzeba było specjalnych mistyfikatorskich zdolności, by zamiast tych słów jaknajwyraźniej wskazanych i czarno na białem reprodukowanych w książce na początku rozdziału p. t. Rodowód Chochoła (str. 38), szukać w Piśmie św. — lub udawać, że się tam szuka — greckiego motta tegoż rozdziału, motta użytego tylko jako komentarz do słów tamtych a wziętego z pism Hermesa, jak o tem mowa przy końcu rozdziału (str. 57).

Że w Weselu o te słowa idzie, nie inne, wskazałem już w przypisach do francuskiego przekładu dramatu (1917). Opierałem się wtedy na następujących danych. Już Lack zauważył, że w Weselu wszystko „odbywa się w niebie (w świecie pozazmysłowym)". Otóż w tej izbie, gdzie trjumfuje Piekło, Niebo (patrz opis dekoracji) reprezentują tylko „święci obrazkowi" na ścianie a przedewszystkiem „nad rokiem pobudowania" wypisane: „Słowo Boże". Jakie być mogło to „Słowo"? Musiało być to samo, co gdzieindziej w tym teatrze. Istotnie już w Danielu wszystko obraca się dokoła „potęgi słowa", dokoła „strasznych słów" wyroku (na carat i trzech mocarzy), który w r. 1891 dwudziestodwuletni Daniel odczytał. I tak jak w tym biblijnym jest we wszystkich chrześcijańskich dramatach, gdzie wszędzie — od „Bóg mówi — słowo" w klątwie po „Bóg: Żywe Słowo zszedł nad groby" w Akropolis — *Słowo ciałem się staje*. Czy to jak w Bolesławie i Skałce, raz tylko przywiedzione w dosłownem brzmieniu, czy to jak w Legionie, przez coraz to inne muzykalnie i plastycznie przeprowadzone „warjacje", — wszędzie te słowa Pisma św. są motywem przewodnim t. j. przyczyną i celem akcji, wszędzie są kluczem sklepiennym, w którym zbiegają się wszystkie — pozornie nierozwikłalne — linje konstrukcji. A skoro nic na ten *motyw* nie wskazywało na scenie Wesela, musiał on być tym napisem w tak widocznem miejscu umieszczonym nad sceną, — nad izbą-sceną, gdzie w siedemnaście lat po jej pobudowaniu, stawić się miał Wernyhora.

To więc „Słowo Boże" autor Wesela umieścił nad wzniesioną przez siebie budową. Ale czy był taki napis w Bronowicach? Utrzymując to wtedy, to tylko jeszcze wiedziałem, że w naszem dawnem budownictwie drewnianem werset o ciałem stającem się słowie często zdobił środkową belkę stropu, w miejscu odpowiadającem kluczowi sklepiennemu murowanej architektury. I dopiero przed dwoma laty W. Szukiewicz, który na moją prośbę zwrócił się w tej sprawie do p. Włodzimierzowej Tetmajerowej (tekst przytaczając wersetu), otrzymał tę odpowiedź:

Kraków, 28.II.1932.

Szanowny Panie!

Wróciwszy po paru dniach nieobecności do domu, zastałam list Szan. Pana, na który spieszę odpowiedzieć. Dom, w którym odbywało się wesele ś. p. Lucjana Rydla w Bronowicach, został w r. 1904/5 gruntownie przebudowany tak, że ani owa izba, ani belka już w pierwotnej formie nie istnieje. Na belce tej istotnie znajdował się napis łaciński i polski, prawdopodobnie ten sam, o którym mówi Wyspiański.

Łączę wyrazy poważania

Anna Tetmajerowa.

Napis istniał a gospodarz to sam z izby usunął Boże Słowo. I może dlatego z Polski tak trudno je dostrzedz nad izbą - sceną, gdzie się gra dalej Wesele.

Adam Łada Cybulski.

Polonica

Pisma Ojców Kościoła ukazują się nakładem księgarni uniwersyteckiej Jana Jachowskiego w Poznaniu. Ostatnio ukazały się: tom XII tych Pism zawierający II cz. „Państwa Bożego" św. Augustyna w przekładzie i z objaśnieniami ks. Władysława Kubickiego, tom XV Listy św. Grzegorza z Nazjanzu, w opracowaniu i przekładzie z języka greckiego Jana Stahra, oraz tom XVI — zawierający Pisma Wybrane Laktancjusza (De mortibus persecutorum; Epitome; De ira Dei) w opracowaniu ks. Czuja.

Kilka monografij o kulturze Torunia wydało miasto. Oto tytuły: Z. Mocarskiego „Książka w Toruniu od r. 1793. Zarys dziejów", St. Tynca „Szkolnictwo Torunia w ciągu jego dziejów", wreszcie G. Chmarzyńskiego „Sztuka w Toruniu. Zarys dziejów".

Nad monografjami o Wyspiańskim i Norwidzie pracuje obecnie szereg uczonych. Prof. Stanisław Cywiński, zasłużony norwidolog, opracował monografję poety. Zamierza też ogłosić ciekawe, nieznane materjały prof. Adam Czartkowski, posiadający nieopublikowaną dotąd korespondencję Norwida z K. Górską. Obszerną monografję o Wyspiańskim złożył w Kasie im. Mianowskiego P. Mączewski.

Prof. Tadeusz Pini przygotowuje wydanie (nakładem „Parnasu Polskiego", który tak zasłużył się społeczeństwu wydaniem całkowitej spuścizny po Norwidzie) obszernego zbioru listów Zygmunta Krasińskiego.

Platoński „Eutyfron" ukazał się w przekładzie prof. W. Witwickiego, w Bibljoteczce Filozoficznej, nakładem Polskiego Towarzystwa Filozoficznego we Lwowie.

W wydawnictwie Alcana (Paryż) „Scrits notables sur la monnaie. De Copernic à Davanzati" ukazały się ekonomiczne pisma Kopernika. Tom pierwszy, który ukazał się właśnie, zawiera obok pism Kopernika, prace innych teoretyków pieniądza z 16-go wieku. Pisma Kopernika przełożył Wiktor Żółtowski.

Parę słów w kwestji „wielkości" form w Nowej Sztuce

(Odpowiedź IV.)

(Dokończenie).

Artysta mający pojęcia za elementy swojej sztuki musi żyć pełnią swej umysłowości, a nie sieczką codziennych wrażeń, w których rodzynkami będą: jakaś orgja w kawiarni, jakiś romans, jakaś podróż, lub awantura. On musi mieć na odległość ręki kanapę w swoim pokoju na równi z całą ziemią, ze wszystkiemi problemami społecznemi, na równi z Drogą Mleczną i dalszemi mgławicami, a dalej musi sięgać w sferę najwyższej abstrakcji, w świat absolutnych idej. Od szerokości jego asocjacyj myślowych zależeć będzie też wielkość jego formy. Artysta ograniczony do paru elementów codziennego życia, wypranego z wszelkiej dziwności przez automatyzację i nie-myślenie o rzeczach wiecznych, będzie duchowym kaleką i nic mu nie pomoże, choćby mieszkał w Sydney, czy w Paryżu, bo na to, aby zużytkować w sposób twórczy otoczenie trzeba mieć w sobie odpowiednie ośrodki myślowe. Choćby miał nie wiadomo jakie koncepcje, nie zdoła on ich zrealizować, nie będzie w stanie z powodu braku materjału *wypełnić obietnic napięć dynamicznych i zabarwień jakościowych*, których poczucie ogólnej konieczności może mieć w pomyśle ogólnym. Tak jak dawniej jednolitość myśli była konieczna dla stworzenia dawnych form, tak dziś, kiedy ta jednolitość jest często sztuczną powłoką, kryjącą istotną niemoc i nicość, występuje na pierwszy plan *sprzeczność*. Według mnie *wielka sprzeczność* jest tak samo dobrym motorem dla puszczenia w ruch artystycznej maszyny i stworzenia formalnej konstrukcji, jak jednokierunkowość i jaskrawe rozstrzygnięcie: „tak, lub nie", do czego zdegenerowani artyści dzisiejsi nie są już szczerze zdolni. Co do mnie wolę najdzikszą nawet sprzeczność, doprowadzoną do ostatnich granic natężenia, niż nieszczere, jałowe, blade i anemiczne miamlanie na temat „tak" i „nie". Spiętrzone sprzeczności, podobnie jak przecinające się massy w malarstwie wytwarzają daleko artystycznie silniejsze napięcia dynamiczne, niż jednolite, pozytywne, lub negatywne, dawno przeżute i stokroć zwomitowane „głębie". Analogja z malarstwem jest zupełna: zamiast rozdzielać przeciwne napięcia dynamiczne możemy je mieć *prawie razem*, przyczem sztuką twórcy będzie właśnie stworzenie przytem związku konstrukcyjnego, a nie chaosu, podobnie jak przy przecinaniu się mass w obrazie

Stur najpierw zabrania pomięszania tragedji z komedją, a następnie, widząc, że największe dzieła dawne (n. p. Szekspir) mają przeważnie mięszaninę obu rodzajów, stawia jakieś miary, które dalekie są od tego, aby być dokładną receptą dla chcących „wielkie rzeczy" tworzyć. Pozwala mianowicie, aby były wyraźne typy: dodatnie i ujemne, (ale wyraźną sympatję ma do przewagi typu dodatniego) a sceny, w których jest przewaga danego typu, muszą być wyraźnie odgraniczone. Zupełnie tak, jakby ktoś à propos malarstwa powiedział: „możesz sobie naginać postacie, jak chcesz, dla kompozycji, ale mimo, że mogą być to nawet kombinacje ludzi ze zwierzętami, muszą być jako takie dobrze narysowane (t. zn. z zachowaniem skrótów perspektywicznych, a może nawet możliwości anatomicznej i fizjologicznej) a broń Boże nie wolno ich ze sobą przecinać". Gdyby jeszcze zasada taka, zupełnie dowolna z punktu widzenia Czystej Formy, dała się tak jasno w teatrze sformułować. Ale gdzie jest ta *graniczna szybkość zmian* w pojedyńczych momentach, nie może podać tego ani Stur, ani sam nawet Belzebub. Istnienie w poezji i teatrze elementów znaczeniowych dodatnich i ujemnych jest absolutnie konieczne. Opiera się to na konieczności przyjęcia jakości przyjemnych i nieprzyjemnych w trwaniach wszystkich Istnień Poszczególnych, bez czego trwanie ich i *zachowanie* w czasie byłoby nie do pomyślenia. Jest to zasada tak istotna dla teatru jak zasada harmonji i dysonansów, dźwiękowych i kolorystycznych w muzyce i malarstwie. Ale na kombinowanie tych elementów i ich proporcję niema i nie może być przepisu, chyba, że weźmiemy dawną jednolitość i system odgraniczeń (jak dawny brak deformacji i przecięć w malarstwie) jako kanon absolutny. Ale wtedy wprowadzamy dowolny zakaz obcy sferze formalnej, nie wypływający wprost z pojęcia Czystej Formy, tylko przeniesiony do jej sfery, z obcej jej w istocie, niewspółmiernej sfery życiowej, która jest tylko materjałem i pretekstem. Stur, rozważając sztukę teatralną, nie myśli o całości konstrukcji tylko o poszczególnych napięciach dynamicznych (nie kierunkowych). Z punktu widzenia formalnego nie chodzi wcale o dane napięcie i zabarwienie jako takie (rodzaj użytego uczucia, charakter elementu znaczeniowego) tylko *o stosunki ich wszystkich między sobą* i stosunek *ich wszystkich do całości*. Wrażenie, o którem mówi Stur nie jest wrażeniem artystycznem, nie opiera się na stosunkach, tylko na jednorazowem szarpnięciu nerwami człowieka w danem miejscu przebiegu akcji. Ale to daje nam każda realistyczna sztuka: tragedja czy komedja — to wszystko jedno, serce, czy przepona — quite the same. Przesąd o jednym „kulminacyjnym punkcie" musi być przezwyciężony. Jest to szablon dawnego teatru, formy użytej dla spotęgowania życia. Nawet metafizyczne uczucia wywołane w ten sposób nie będą artystycznem zadowoleniem. Takich uczuć metafizycznych może nam dostarczyć samo życie: rozstanie z kochanką, katastrofa kolejowa, dziwny sen, skazanie na śmierć, piękny widok górski. Tu chodzi o uczucie to, wywołane bezpośrednio przez Czystą Formę. To właśnie nazywamy estetycznem zadowoleniem. Może być 10 punktów kulminacyjnych zupełnie równowartościowych, albo może nawet w ostateczności nie być ich wcale: Konstrukcja może być oparta na samych zmianach zabarwień jakościowych, równoważnych pod względem siły. Według mnie nawet pokraczne Coś, powstałe z jednoczesnego płaczu i śmiechu może być świetnym elementem formalnym w odpowiedniem miejscu danej sztuki. Zakaz Stura jest zakazem tyrana, opartego na tradycji.

Możliwem jest, że sztuka mięszana będzie *życiowo bezpłciowa*. Ale wolę to, niż formalnie bezpłciowe Lucifery i Prometeje i odwartościowane słowa (n. p. duch) pisane dużemi literami. Co ma robić aktor i reżyser z takiem librettem? Czy ma pole do nowej twórczości formalnej, do artystycznego, nie realistycznego przeżywania siebie samego? Czy będzie krzyczał też dużemi literami na scenie? Nie nie powinny nas obchodzić same elementy i ich życiowa mięszanina, z chwilą kiedy wynik formalny opłaca to w innym wymiarze. Ale kto z krytyków i publiczności patrzy w ten sposób na teatr i malarstwo? Prawie nikt świadomie. Może nawet ci, którzy nie są zarażeni naturalizmem i nie są pod ciśnieniem szablonu dzisiejszej krytyki, czują coś innego — może czasem są to nawet sami krytycy? Ale cóż mogą oni o tem *powiedzieć*? Nic — bez odpowiedniego systemu pojęć o niczem nie powiedzieć nie można. O stworzenie takiego systemu, do czego doskonałym środkiem jest rzeczowa polemika i wzajemne wyłapywanie błędów, właśnie mi chodzi. Ale próby w tym kierunku uważane są przez naszych prowincjonalnych (mimo przebywania w stolicach) „mogołów" krytyki za blagę i nabieranie „normalnej", t. zn. dostatecznie niekulturalnej publiczności.

Wracając do Stura: jak należy rozumieć to „jednorazowe pokazanie, że niezdecydowanie nie prowadzi do wielkości"? Czy wolno to pokazać raz na całą historję ludzkości? Czy też każdy autor ma raz w życiu prawo pokazać to na swój sposób? Co do jednolitej komedjowości, lub tragedyjności i kwestji odgraniczeń, można zrobić porównanie z muzyką. Jest to tak jak gdyby ktoś powiedział, że każdy utwór musi mieć zachowaną tonację, lub że jeden temat musi być koniecznie majorowy, a drugi minorowy. Cóż zrobić z dzisiejszą muzyką, gdzie jednolita tonacja coraz mniej jest zachowana, gdzie nawet określić trudno w jakiej tonacji się coś dzieje, wskutek czego niektórzy kompozytorzy wyrzekają się znaków przykluczowych jako zupełnie zbytecznego balastu i piszą poprostu wszystko w tonacji C.

Stanowisko to, że z treści wnioskuje się o formie, doprowadza do tego, że Czystej Formy, która bezpośrednio powinna działać, nie widzi się wcale. Łapie się za słówka „bohaterów" sztuki, a za ich pośrednictwem nieszczęsnego autora i tak pośrednio zaczyna się doszukiwać skaz niby na formie artystycznej. Ależ proszę (jeśli o mnie chodzi) „rżnąć", „jechać", „gwęgolić", i „gwajdlić" tę formę do syta. Będę się tylko cieszył możnością polemiki istotnej i tem, że nareszcie zaczyna się u nas prawdziwa artystyczna krytyka. Ale krytycy wolą „chlastać" z nieistotnych punktów widzenia. Raczej nie wolą, ale muszą tak postępować, bo o istnieniu Czystej Formy nie wiedzą, albo uważają ją za fikcję chorej wyobraźni, lub za świadomy humbug. To ostatnie jest najbardziej kompromitujące dla ich inteligencji. Można *nie zgadzać się* na daną teorję, ale *nie wiedzieć* napewno czy jest ona poważna, czy blagierska, jest to przyznać się do bardzo nizkich umysłowych kwalifikacji. Przecież do jej zrozumienia nie potrzeba znać teorji równań różniczkowych, ani rachunku tensorowego. Oczywiście nie robię tu aluzji do Stura, tylko do pewnych ludzi, z których krytyką spotkałem się à propos wystawienia moich sztuk.

Zupełnie nie wyobrażam sobie „treści" Micińskiego w formie B. Shaw'a, ponieważ przedewszystkiem uważam, że Shaw jest przykładem piekielnego talentu scenicznego zużytego dla nieartystycznych celów, a Miciński (w „Bazylissie") jest skondensowanym typem formalnego scenicznego twórcy i to w zupełnie nowej formie. Ale ostatecznie zawsze można sobie pomyśleć poważne zdanie wypowiedziane ironicznie i naodwrót. Można nawet wyobrazić sobie „Wiosnę" Boticellego namalowaną przez Wodzinowskiego i „Boską komedję" napisaną przez Anatola Sterna — ale tylko w ten sposób, że w istniejącą już formę jako w naczynie, wlana będzie ta sama treść, w szczegółach inaczej przyprawiona — czyli w innem ujęciu formy. Tak samo można pomyśleć sonatę Beethovena zharmonizowaną przez Prokoffjewa. Będą to oczywiście „potwory", takie, jakie można obserwować w muzeach przy klinikach ginekologicznych. Na to, że Czysta Forma jest najbardziej indywidualnym wytworem danego osobnika, w czem przyjmuje udział cała jego istota, zgadzam się zupełnie. Ale z chwilą krytyki dokonanego dzieła powinniśmy przedewszystkiem patrzeć nie na to, *co* zostało w niem wyrażone, tylko zbadać *jak* został użyty materjał danego twórcy dla artystycznej konstrukcji. Sądzę, że „idejowe" stanowisko Stura jest powodem tego, że każda komplikacja formalna, odstępująca od dawnego szablonu przedstawia się mu jako formalny chaos. Niestety jest to błąd całej naszej krytyki. Cała przyjemność polega na tem, że Stur, przynajmniej teoretycznie rozumie Czystą Formę i że w dyskusji okazuje dobrą wolę.

Trudności, które napotykamy w tego rodzaju rozprawach polegają na tem, że wszyscy prawie mięszają ze sobą dwa problemy: kwestję Ogólnej Teorji Sztuki (starej i nowej, z wyjątkiem realizmu) opartej o pojęcie Czystej Formy i kwestję *„nienasycenia formą", stwarzającego perwne formy specjalne*, będące według mnie końcem Sztuki. Nie rozumieją oni Sztuki wogóle — starej czy nowej — to wszystko jedno i teorja ogólna powinna ich oświecić. Mogą sobie dalej nie lubić i nie uznawać Picassa lub Szymanowskiego, ale niech zrozumieją jak należy Boticellego i Mozarta. Drugie nieporozumienie polega na nie oddzieleniu kwestji procesu twórczego (związku dzieła sztuki z danym osobnikiem jako człowiekiem) i kwestji dzieła dokonanego; trzecie — na niezrozumieniu tego, że w teorji, jednorodny proces twórczy musi być rozłożony na swoje składniki i że teorja nigdy nie może być absolutnie adekwatna z opisaną przez nią rzeczywistością. Ostatnie wynika po części z wpływu największego demona dzisiejszej filozofji H. Bergsona i jego kłamliwych obietnic, których sam nigdy nie spełnił: z obietnic „intuicyjnego poznania". Poparta jego autorytetem głupota łatwo zwycięża wysiłek umysłowy wśród niekulturalnego otoczenia.

Ponieważ Stur dla przykładu używa moich utworów, muszę powiedzieć parę słów w kwestji osobistej. W książce „Na Przełomie" czytamy, że Stur nie wie czem jest „Tumor Mózgowicz", w każdym razie jest dlań „dziełem w swej chorobliwej beznadziejności — wielkiem". Nie powtarzam tego dla odgrzewania komplimentu, który, jako że ze stanowiska wrogiego mi (treści) wypuszczony, jest dla mnie obojętnym, tylko dla wykazania ewolucji poglądów mego przeciwnika. Nie uznaję jednego twierdzenia, a mianowicie tego, że „grzęznę" w problemach. Jeśli już mamy mówić o „treści", to muszę skonstatować, że mój pogląd filozoficzny (jakkolwiek niewykończony), estetyka, poglądy społeczne i praca artystyczna stanowią, mimo wszelkie zarzuty, które mi stawiać można, pewną całość architektoniczną. Gdyby Stur zarzucał mi wyraźnie „niezaradność" formalną, w szczegółowej analizie formalnej jakiegoś utworu, byłoby to bardzo dla mnie ciekawe. W tej ogólnikowej formie, tylko na tle powierzchownej analizy „treści" zarzut ten jest dla mnie dość gołosłowny. Twierdzę, że nawet tam, gdzie używam problemów jako pretekstu dla „napięć dynamicznych", problemy i ich rozwiązania zarysowują się (na razie) dość jasno. Możliwe, że w dalszych sztukach wystąpi u mnie jeszcze większa artystyczna perwersja, ale, zgadzając się, że problemy naszej epoki są dość „grząskie", muszę się bronić przeciw zarzutowi, że w nich „grzęznę".

17.V 1923. *S. I. Witkiewicz.*

Wronskiana

W Tygodniku Illustrowanym z 9 września r. b. inż. Z. Chełmoński — w artykule „Zdobycze astronomów polskich" — pisze, z okazji Zjazdu Astronomów Polskich w Warszawie, o poważnych rezultatach pracy a nawet sukcesach naukowych astronomji polskiej; skarży się on przytem na obojętność ogółu, dla tej jednej z najpiękniejszych dziedzin nauki. W samej rzeczy, gdy o innych kongresach naukowych prasa nasza rozpisywała się szeroko, o Zjeździe Astronomów pisały niektóre tylko pisma i to w formie lakonicznych wzmianek.

Inż. Chełmoński pisze m. in. w swym artykule:

„Rozmyślnie pozostawiłem na sam koniec omówienie wręcz rewelacyjnego referatu, wygłoszonego przez jednego z prelegentów, astronoma-geodetę, p. Ksawerego Jankowskiego, p. t. „Idee Hoene-Wrońskiego o budowie cieczy".

„Hoene-Wroński, filozof i matematyk, nie znalazł uznania u swych współczesnych. Dzisiaj dopiero, po blisko setce lat od zgonu, doczekał się tego, że — należy to wyznać z ręką na sercu — prócz ojczyzny jego, cały świat zwraca się do umysłu, idei i prac jego. Nietylko na zachodzie imię Hoene-Wrońskiego jest coraz częściej cytowane, lecz również wydawane są jego dzieła. Naprzykład oglądałem wydane dzieło jego, p. t. „Mechanica celeste", po hiszpańsku w Limie; jak również spotkałem entuzjastyczny artykuł niejakiego Van Sandena, p. t. „Whither Shaw", w czasopiśmie ceylońskiem „Ceylon Causerie", pouczający Bernarda Shaw'a, o maluczkości jego idei w porównaniu z Hoene-Wrońskim i odsyłający Shaw'a do Hoene-Wrońskiego, by poznał, gdzie są istotne prawdy".

„Komunikat, podany przez prof. Jankowskiego w referacie, powinien przejąć dumą każdego Polaka", (tu następuje opis zatargu Hoene - Wrońskiego z Londyńskiem Towarzystwem Królewskiem *), zakończony cytatem z listu jego do Akademji — *przyp. nasz).*

„Prof. Jankowski, pracując nad pewnemi zagadnieniami hydrodynamicznemi, operując wyłącznie dzisiejszą, skończoną można rzec, matematyką... zdumiał się, ujrzawszy otrzymane wyniki: ujrzał bowiem, że otrzymał te same wzory matematyczne, jakie 113 lat temu stworzył Hoene-Wroński. Pięć z tych wspomnianych siedmiu wzorów otrzymał prof. Jankowski w dawniejszej pracy, w referacie zaś na Zjeździe podał dedukcję dwóch ostatnich, wskazując związek właściwości cieczy z założeniem teorji sprężystości".

* * *

W zeszycie 7-ym „Nowej książki" Józef Jankowski, b. prezes Instytutu Mesjanicznego (nie mieszać z Ksawerym Jankowskim, astronomem — *przyp. nasz.)* zamieszcza recenzję o książce Czesława Jastrzębca - Kozłowskiego: „Absolut i względność". W recenzji, która przyznaje, że „praca p. J.-K. jest cenna, gruntowna, i może służyć miłośnikom Wrońskiego, jako przewodnik po labiryntach kołowrotnych myśli metafizycznej", znajduje się następujący passus:

„Osobliwy zaś zgoła jest sposób (mesjaniczny) uważania poza przyjętym przez siebie rozumem wszystkiego, jako obłęd, chociażby był tem, n. p. rozum krytyczny Kanta, nieuznający transcendencyj i niedoświadczalnych aprioryzmów. Tu oczywiście dyskusja wyłączona".

Jeżeli złośliwa ta uwaga ma się odnosić do zdania z książki omawianej, zacytowanego przez recenzenta powyżej („Jeżeli zdołamy wszystkie władze psychologiczne wysnuć z wiedzy, tem samem zmieścimy je w Rozumie: irracjonalnym będzie wówczas tylko byt nieoznaczony, albo jeszcze— obłęd"), to trafia ona w próżnię. Cz. J.-Kozłowski ma tu najwyraźniej na myśli obłęd, jako stan wyobcowania jaźni poza obręb podmiotu - rozumu, wyobcowania, które Wroński określa jaknajdokładniej w Apodyktyce (aliénation mentale), jako należące do systematu pathogenji, a polegające na rozbiegunowaniu pomiędzy osobowością (personnalité humaine) a fizycznością (animalité humaine). Ponieważ jest tam mowa o dyspolaryzacji psychizmu i organizmu, więc obłęd jest w samej rzeczy rzeczywistością, powstającą w sferze podświadomego, czyli pod-psychiczną, irracjonalną.

Jeżeli natomiast złośliwość ta godzi w rzekomą „zarozumiałą apodyktyczność" mesjanizmu (na co zdaje się wskazywać przymiotnik: „mesjaniczny"), to zkolei dyskusja z takim zarzutem jest „wyłączona". Conajwyżej wypada zaznaczyć, że nikomu z wronskistów nie śniło się dotąd utożsamiać rozumu krytycznego Kanta z obłędem, choćby dlatego, że jak to dobrze wiadomo p. Jankowskiemu, sama doktryna mesjaniczna ugruntowana jest na bazie transcendentalnej kantowskiej krytyki rozumu.

Możnaby mniemać, że rozumowanie p. Jankowskiego było następujące: Wronskista Kozłowski uznaje transcendencję rozumu, a więc Kant, jako przeciwnik aprioryzmów i transcendencji, stoi poza tym, po mesjanicznemu pojmowanym, rozumem. Jednakowoż cała filozofja Kanta zbudowana jest z aprioryzmów, bo z sądów syntetycznych a priori, i to nietylko z tych, które stosują się jedynie do doświadczenia (przypominamy „krytykę praktycznego rozumu"). Powściągliwość Kanta wynikła z opozycji przeciwko dogmatycznej pseudo - metafizyce i z niewyciągnięcia ostatecznych konsekwencyj z zajętego przez siebie stanowiska, w którem były już gotowe przesłanki do „metafizyki, jako ścisłej dyscypliny naukowej".

*) Dokładny opis tej sprawy podaje prof. Paulin Chomicz w artykule „Ze Zjazdu Astronomów Polskich", w Nr. 12 Zetu.

W sprawie nowej plotki

Nie mam zamiaru polemizować z p. Waligórą i jego artykułem zamieszczonym w sierpniowej „Polsce Drugiej". Odpowiedziałem mu już dawniej w „Zecie". Że Genjusz Wyzwolenia Przybyszewskim nie jest, wiedzą ci nawet, którym w tej kwestji trzeba było osobistych Wyspiańskiego wynurzeń. Istotnie i dla nich sprawa jest załatwiona: 1) listem do Rydla z 6 marca 1895, który w swej książce cytuje W. Trojanowski (str. 199 — 202); 2) artykułem w „Życiu" z 2 października 1897, reprodukowanym w T. VIII Dzieł (str. 1 — 7): 3) wywiadem udzielonym Kotarbińskiemu (patrz Nr. 59 „Zetu") a udzielonym poto, by zrozumiano, że tym który się w Wyzwoleniu przeciw Mickiewiczowi - Genjuszowi buntuje (za co mu zresztą oczy wydzierają Erynje), jest Konrad - Mickiewicz; znaczy to, że w dramacie, który się przecie *nie za życia Mickiewicza rozgrywa ale w Polsce współczesnej* — nie „historyczny" poeta występuje ale dwa duchy, dwie siły, które się w nim samym ścierały i dalej o los nasz walczą: Wola państwowo - twórcza i mesjaniczne Przeznaczenie.

Wiem, że byłoby daremnie tłumaczyć to p. Waligórze, tutaj więc zaprotestować chcę tylko przeciw jednej jego nowej plotce. „Tuż, tuż — tak pisze — miała się rozwiać chytra legenda" (legendą ma być fakt, że Konrad i Genjusz obaj są Mickiewiczem). Ale „spostrzegł się na tem „genjalny" Lack i przy pomocy reżysera otumanionego ironiczną odpowiedzią autora Wyzwolenia, legendę spetryfikował". Znowu historyjka wyssana z palca, skoro Lack nigdy w swych pismach problemem podwójnego Mickiewicza w Wyzwoleniu się nie zajmował, stosunków żadnych w teatrze nie miał, i *skoro tym, który to, co p. Waligóra „legendą" nazywa, świadomości publicznej inscenizacją i wywiadem narzucił—był sam Wyspiański.*

Gdy ktoś, ignorując teksty (a tekst to nietylko poszczególne zdania czy sceny ale całość utworu), opiera się rzekomo na biograficzno - historycznych danych, ma przynajmniej obowiązek poznać te dane — zamiast je na każdym kroku fałszować. I żadne wymyślania od bolszewików i masonów nie sprawią, by to — nawet uczciwość intencyj uznając — uznać można za uczciwą metodę.

A. Ł. C.

Książki i czasopisma

Leon Wasilewski: Kwestja ukraińska jako zagadnienie międzynarodowe. Praca Ukraińskiego Instytutu Naukowego. Serja prac Komisji dla badań zagadnień polsko-ukraińskich, zeszyt 1. Warszawa 1939. Str. 146.

Nela Gajzlerówna: Szare wiersze. Warszawa 1934. Nakł. księgarni F. Hoesicka. Str. 38.

Stanisław Piechowski: Za nią. Poezje, Kraków 1907. Nakł. Księgarni Ludowej K. Wojnara. Str. 44.

Stanisław Piechowski: Dzwon. Dramat w 5 aktach. Lwów 1913. Księgarnia Polska B. Połonieckiego. Str. 86.

Stanisław Piechowski: Orloni. Poemat dramatyczny w siedmiu obrazach (wydanie pośmiertne). Warszawa 1931. Skł. gł. Gebethner i Wolff. Str. 141.

Bunt Młodych (r. V ur. 14) A. Listowski: Na marginesie współczesności; Józef Winiewicz: Walczymy o moralność w życiu gospodarczem; Jerzy Braun: Europa nad Wisłą. Odpowiedź na „List do Ukraińców o kulturze polskiej"; Stanisław Łoś: Ukraiński Uniwersytet czy szkoły zawodowe? Stanisław Żejmis: Na Polesiu puls bije mocniej... II „Mazureland — mein Vaterland; Piotr Dunin - Borkowski: Rząd biurokracji (dok.); Wyższe szkolnictwo rolnicze w opałach; Matylda Sapieżanka: Na Zachodzie.

Werner Hegemann: Le grand Frédéric. Traduit de l'allemand. Paris 1934. NRF. Gallimard P. 425.

REDAKCJA: Jerzy Braun, Krosno, Rafinerja nafty (Małopolska). Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 68 m. 77 Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.216
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „BLUSZCZ", Warszawa, Solec 87.